



DATA WYDANIA 02.03.2010 R.

WSTĘPNIAK

Spotykamy się po feriach, niedługo zaczniemy odliczanie do świąt a potem wakacji, wcześniej jednak czekają nas ważne wydarzenia – uczniów klas 3. liceum matura, zaś uczniów gimnazjum – egzamin dający przepustkę do wybranego liceum. Życząc powodzenia i

– przede wszystkim – przynoszącej wymierne rezultaty nauki, nie zapominamy o bieżących wydarzeniach – o tym, co działo się ostatnio ciekawego w szkole i o tym, co być może się wydarzy. Jak zwykle w tym numerze – recenzje, felietony, bezліtośnie subiektywne opinie

co do (...). I jak zwykle życzymy przyjemnego czytania.

ANNA MARIA WESOŁOWSKA



Na 69. stronie artykuł z ostatniej chwili: Wrażenia ze spotkania z panią Anną Marią Wesołowską.

W tym numerze

Wstępniak

Z życia szkoły...

Młodzi – zdolni... dlaczego nie?	3-4
Gdzie na studia?	4-5
To już jest koniec?	5-6
... i po studniówce	7-8
Korepetycje – konieczność czy moda?	8-9
Filharmonia	9-10

Społecznie

O autobusach uwag kilka	10-12
Portale internetowe	13-14
Z cyklu: Pogadajmy	15-16
W świecie seriali	16-18
Linia, tyczką mogę być	18-20

Zainteresowania

ZHR	20-21
Harcerstwo	21-22
Koło Żywego Słowa	23
Fotografia	23-24

Felietony

Samotność /nie/ z wyboru	25-26
Bolesna samotność Nosferatu	27-28
Komentarz do rzeczywistości	29
Słaba płeć – czy rzeczywiście słaba?	29-30
Miłość (nie tylko) na walentynki	30-31
Rozstania	32
Być na zakręcie	33

O sensie życia	34
Świat (bez) wartości	35-36

Portrety/sylwetki

Żydzi – portret narodu	37-38
Grzegorz Jarzyna	39-40
Hanna Krall	41-42
Paulo Coelho	43

Recenzje

Kryzys w muzyce? Cz. II	44-46
Hłasko – /p/o spektaklu	47-51
One Year	51-52
Invictus	53
Ciekawy przypadek Benjamina Buttona	54-55
Przekleństwa niewinności	56-57
Millennium	57-59
Troja	59
Operacja Dunaj	60

Sport

Koszykówka	60-61
Testy, testy i po testach	62-63
Futbolowe emocje wracają na ligowe boiska	63-65

Twórczość własna

Z pamiętnika nastolatki	66-67
Procedura	68

Z ostatniej chwili : Anna Maria Wesołowska 69

Młodzi (i) zdolni... Dlaczego nie?

Artykuł autorstwa Jakuba Brojka i Moniki Kozakiewicz

W czwartek, 4 lutego, w miejskiej bibliotece odbył się wernisaż wystawy „Młodzi – zdolni, dlaczego nie?“, gdzie zostały zaprezentowane prace młodych artystów z naszej szkoły i nie tylko. Autorką projektu jest sorka Barbara Sawczuk-Gótaszewska, która zgodziła się odpowiedzieć na kilka naszych pytań. Rozmawiają – Monika Kozakiewicz i Jakub Brojek.

Skąd wziął się pomysł wystawy?

Trzy lata temu, gdy miałam zastępstwo z jedną z klas, obserwowałam, jak młodzież rysuje – na brudno, w starych zeszytach. Zapytałam jednego z Waszych kolegów, czy ktoś widział jego prace, na co on odparł, że rysuje tylko dla siebie. Przez dwa tygodnie namawiałam go, żeby pokazał mi swoje dzieła. W końcu zgodził się – obejrzałam jego prace i stwierdziłam, że na pewno nie jest jedynym uczniem, który posiada ukryty talent. Okazało się, że wielu z Was rysuje, maluje. Niektórzy planowali podjąć studia na ASP, część miała prywatnych nauczycieli, a kilku uczniów w ogóle nie wiązało swej przyszłości ze sztuką. Po długich namowach udało mi się zebrać większą ilość prac. Pierwszą wystawę zorganizowaliśmy w Sienkiewiczówce na Poświętnem.

Czy ktoś pomagał Sorce w tym przedsięwzięciu?

Pierwszą wystawę zorganizowałam sama, przy pomocy pań z Sienkiewiczówki. Oczywiście zaangażowała się także zainteresowana młodzież. Wiele osób nie wiedziało o tej wystawie, zainteresowanie wzrosło dopiero po oficjalnej informacji. Prace obejrżeli wtedy zaproszeni goście, a nawet delegacje z Francji czy Chin (goście ARiMR). Druga wystawa odbyła się bez udziału mediów, można ją było oglądać przez całe wakacje w bibliotece miejskiej. Wystawiliśmy prace uczniów także w szkole muzycznej, gdzie odbyło się spotkanie z aktorką, panią Sieńczyłło. W tym roku postanowiłam zorganizować wystawę przy większym udziale mediów, w większych grupach, tak aby każdy miał okazję ją obejrzeć.

Czy uczniowie zgłaszają się sami?

Tak, zdarzają się osoby, które wyrażają chęć zaprezentowania swoich prac. Niektórych młodych artystów jednak trzeba namawiać.

Jaka była reakcja oglądających tegoroczną wystawę?

Jestem bardzo zadowolona, bo wiele osób bardzo chwaliło prace. Niektórzy byli wręcz zachwyceni. Wiele osób rysuje bez opieki fachowców, jednak mają fantastyczne pomysły i to znacznie podnosi wartość ich prac. Niektórzy próbują rysować pod okiem specjalistów, chociażby pana Wilhelma Nowaka, który był gościem naszej

wystawy. Był zachwycony niektórymi pracami i wróżył naszej młodzieży przyszłość artystyczną. Osoby oglądające tę wystawę gratulowały uczniom talentu i pracy, jaką wkładają w swoje dzieła.

Czyli będą kolejne wystawy?

Tak. Pierwsza była zorganizowana po to, abyśmy mogli zobaczyć reakcje oglądających. Teraz mam nadzieję, że będą odbywać się cyklicznie. Chciałabym oglądać prace naszych uczniów co roku.

Wśród prac były również dwie autorstwa osób spoza szkoły...

Zwróciły się do mnie dwie osoby z SP nr 2 z prośbą o wystawienie prac, a ponieważ tytuł wystawy to „Młodzi – zdolni, dlaczego nie?“ i nie ma tam wzmianki o ograniczeniach tylko do naszej szkoły, nie było przeszkód.

Prywatnie interesuje się Sorka sztuką?

Umiarkowanie. Myślę, że jest to spowodowane brakiem czasu. Uwielbiam zwiedzać muzea, analizować malarstwo, tylko, tak jak mówię, mam na to ograniczony czas. Dlatego wolne chwile na wakacjach spędzam na analizowaniu sztuki, epok twórczych, malarzy etc. Może nie jestem wielkim znawcą, ale lubię piękno.

Dziękujemy za rozmowę.

Dziękuję.

Swoje zdanie na temat wystawy wyraziła także jej uczestniczka, uczennica naszej szkoły – Agnieszka Szumańska.

Agnieszka: Swoją przygodę z fotografią zaczęłam kilka lat temu. Początkowo fotografowałam aparatami analogowymi, następnie cyfrówkami i w końcu, od lipca tego roku, cie-

szą się z lustrzanki. Wiedzę na temat mojej pasji pogłębiłam poprzez książki, Internet a także dzięki poradom, krytyce, pochwałom moich zdjęć umieszczanych w pewnym portalu. W związku z możliwością doskonalenia umiejętności pełnię funkcję fotografa szkolnego. Z chęcią fotografuję ludzi i dlatego w przyszłości chciałabym założyć profesjonalne stu-

dio fotograficzne. Główną tematyką moich zdjęć jest przyroda i wszystko, co nas otacza. Mój udział w wystawie „Młodzi zdolni... Dlaczego nie?” zawdzięczam koleżance Anecie, która powiedziała mi o tym wernisażu. Z chęcią dałam zdjęcia Sorce, gdyż chciałam usłyszeć opinie innych ludzi na ich temat.

Mamo! Tato! Będę lekarzem! Będę prawnikiem! Czyli o wyborze studiów przez maturzystę

Artykuł autorstwa Jakuba Brojka

Rok szkolny dla maturzystów wkracza w decydującą fazę. Majowe egzaminy zdecydują o całym naszym przyszłym życiu. Już na początku naszej licealnej przygody wybraliśmy ścieżkę, której trzymaliśmy się przez trzy lata nauki. A teraz przychodzi czas na o wiele dokładniejszy wybór.

7 lutego już minął, zatem od tego, co napisaliśmy we wstępnej deklaracji, w praktyce nie ma już odwrotu. Już każdy z nas ma kierunek, w którym chce się dalej realizować. Ewentualnie kilka kierunków alternatywnych. I tak osoby z klas A, F i G idą z reguły na uczelnie o kierunkach ścisłych, z klas B i E na kierunki humanistyczne a z klas C i D na kierunki przyrodnicze i medyczne. Co nie oznacza, że nie ma wyjątków. Popularne na pewno będą: stosunki międzynarodowe, prawo, medycyna, sgh, kierunki związane z zarządzaniem i

kształtowaniem środowiska, ale i pojawią się oryginalne pomysły.

Pytanie, jakie się nasuwa, jest proste: gdzie?

Większość wybiera wygodę, czyli kierunek – stolica. Warszawa to przede wszystkim dogodne połączenie z Płockiem. Obecność zmodernizowanej „siódemki” ułatwia wyjazdy i przyjazdy z i do stolicy Polski. W tym ponad milionowym mieście znajduje się szereg najważniejszych uczelni w kraju z UW na czele, ale także i UKSW, SGH czy Politechnika i wiele innych. Warszawa to wielkie miasto, w którym chyba najłatwiej później się „zaczepić”.

Są jednak takie osoby, którym klimat stolicy do końca nie odpowiada i szukają innych rozwiązań. Popularnym rozwiązaniem jest właśnie toruński UMK. Ładne i nieduże miasto to atrakcyjna oferta. Wiele osób z poprzednich

roczników skorzystało z niej. Tutaj jednak pojawiają się pewne minusy. A mianowicie problem z dojazdami. Każdy słyszał o tym, że do Torunia z Płocka bezpośrednio kursują tylko dwa autobusy, a i z powrotem nie jest najlepiej. Można korzystać z uciążliwej przeładki w Płocku.

Poza Toruniem i Warszawą nasi absolwenci z poprzednich lat bardzo chętnie wybierają Olsztyn. Stolica Warmii i Mazur jest korzystnie położona. Uczelnia posiada mniejszą renomę niż wyżej wymienione, ale to nie zmniejsza jej popularności.

Są również tacy, którzy wybiorą jeszcze dogodniejszą lokalizację. Ciechanów, Pułtusk, Płock czy nawet Płock to miasta posiadające uczelnie wyższe. A niektórzy wybiorą trudniejsze rozwiązania lokalizacyjnie. Często wybierają Łódź, Poznań, Gdańsk czy Kraków. A co roku znajduje się

ktoś, kto kończy uczelnie zagraniczne w Niemczech czy Francji a nawet na Węgrzech.

Lokalizacja to nie wszystko.

Liczą się także marzenia i zamierzone cele. Komuś od najmłodszych lat może marzyć się studiowanie we Wrocławiu.

Nic nie powinno stać na prze-

szkodzie. Jednak wiadomo – tęsknotę za rodzinnym domem również trzeba brać pod uwagę. Zatem na wybór studiów przez maturzystę wpływ ma wiele czynników, wśród których najważniejszym jest lokalizacja.

TO JUŻ JEST KONIEC?

Artykuł autorstwa Ady Szymborskiej

Powoli i nieuchronnie zegnamy się ze szkołą średnią. Niektórzy spędzili tu trzy, a niektórzy aż sześć lat – w sumie jedną trzecią swojego dotychczasowego życia. Pisanie o tym w czasie przeszłym jest trudne i niespecjalnie wesołe. Może to przesadne rozpoetyzowanie, ale mam wrażenie, że weszłam do tej szkoły jako zupełne dziecko, a opuszczam ją dojrzała, mądrzejsza o nowe doświadczenia. Spędziłam tu ważne dla mnie lata, część mojej młodości. Nie chcę jednak pisać o tym subiektywnie – myślę, że najlepszym podsumowaniem tego okresu będzie rozmowa z osobami, z którymi go spędziłam. A z braku chętnych z jedną osobą.

Ada Gołaszewska: No tak, tylko ja pozostałam Ci wierna i pomocna. Ale przejdźmy do konkretów – masz rację, przychodząc do tej szkoły jako trzynastoletni, bardzo młodzi ludzie, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że te 6 lat minie tak szybko.

Ada Szymborska: Wręcz błyskawicznie. Gdybyś miała krótko opisać ten czas, to powiedziałabyś, że...?

A. G.: Że był to czas, który na wiele lat, a pewnie nawet na całe życie pozostanie w mojej pamięci. Mogę w tym momencie z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że liceum nas kształtuje i z dzieci chodzących do gimnazjum stajemy się tutaj ludźmi, którzy naprawdę zaczynają poważnie podchodzić do wielu spraw. Oczywiście będę miała gorsze i lepsze wspomnienia z tego okresu, ale tak jest w życiu i nic na to nie poradzimy.

A. Sz.: Skupmy się na tych lepszych – jakaś ulubiona anegdota, historia, postać?

A. G.: Historia, historia... To ciekawe, bo było ich tak wiele, a tak naprawdę, gdy przychodzi co do czego, to nie potrafimy wybrać tej jednej, najlepszej.

A. Sz.: Powiedzmy sobie szczerze, te najlepsze nigdy nie ujrzą światła dziennego...

A. G.: No właśnie, dlatego pró-

buję wybrnąć z sytuacji i powiedzieć coś, co może ujrzeć to światło... Chyba warto wspomnieć o wycieczce z moją klasą do Świętej Lipki

A. Sz.: Ekhm, nie tylko Twoją klasą.

A. G.: No i właśnie dlatego, że nie tylko moja klasa, również TY byłaś na tej wycieczce.

A. Sz.: Dobrze powiedziane. Rozwiniesz?

A. G.: Jest o czym mówić, pomimo tego, że ktoś mógłby się czepiać – wycieczkę, która była jedną i jedyną wycieczką przez 3 lata nauki w liceum, można określić jako tę najfajniejszą. Wszystkie wycieczki, a szczególnie te kilkudniowe nie są tylko pretekstem do tego, żeby nie chodzić do szkoły, ale przede wszystkim mają nas integrować. Tę funkcję zdecydowanie wcześniej wspomniana spełniła.

A. Sz.: Ok, rozumiem, że nie będzie żadnej wstrząsającej historii dyplomatką. Ale może to lepiej dla wszystkich.

A. G.: Niestety, dyplomatką jeszcze przez parę tygodni jest

przewodniczącą samorządu i powinna dawać „DOBRY” przykład uczniom naszej szkoły.

A. Sz.: Bardzo słusznie. Chociaż skoro już jesteśmy przy wycieczkach, ja pamiętam jeszcze tę z gimnazjum, do którego przecież też chodziliśmy razem – III k i sor Jarosiewicz (oraz sor Michniewicz) w Pieszku.

A. G.: Tak, to była wycieczka jedyna, niepowtarzalna, ekscytująca, pełna zabawnych sytuacji, a co najważniejsze z naszym wychowawcą, którego nie zapomnimy. A właściwie to może wybierzemy się tam po maturach, co Ty na to?

A. Sz.: Nie wiem, czy zauważyłaś, ale plany na „po maturze” niebezpiecznie się rozrastają. Chociaż oczywiście bardzo chętnie.

A. G.: To chyba dobrze, że mamy jeszcze tak bogatą wyobraźnię.

A. Sz.: Jeszcze? Wiesz, mam wrażenie, że te parę lat w szkole wpłynęło wręcz na zdecydowany jej rozwój.

A. G.: To prawda. A powiedz mi moja droga, jaką postać z naszej szkoły przede wszystkim zapamiętasz? Rzecz jasne nie mówię o sobie, bo to oczywiste, że wpłynęłam w znacznym stopniu na Twoją psychikę i odcisnęłam na niej piętno. Moja skromność mnie czasami zadziwia...

A. Sz.: Tak, dlatego bardzo się cieszę, że będziemy się widywać codziennie już tylko do końca kwietnia :D A poza tym, to ja tu zadaję pytania, nie dość, że wkraczasz mi w kompetencje, to jeszcze sama sobie odpo-

wiadasz.

A. G.: Nie narzekaj, mogłaś zostać z tym sama, ale ja na to nie pozwoliłam, docień!

A. Sz.: Doceniam i dziękuję. Wracając do Twojego pytania – oczywiście osobami, które doskonale zapamiętam, będą niektórzy nauczyciele. Nie będę ich wyróżniać z imienia i nazwiska, ale wszyscy wiemy, że wielu z nich ma niesamowitą charyzmę i osobowość, co jest rzeczą jasną komplementem. Dzięki nim dowiedziałam się wielu rzeczy, nie zawsze związanych z prowadzonym przedmiotem, ale wiadomo – mądrość życiowa jest równie ważna.

A. G.: Liczyłam, że wspomnisz o przyjaciółach, a nie nauczycielach. Właściwie to szkoda, że niektórzy z nich nie mają dystansu do siebie, bo może wtedy mogłybyśmy na łamach gazetki powiedzieć, co o nich myślimy. Oczywiście w sposób kulturalny, może niektórzy wzięliby to sobie do serca. Ale to taka dygresja, bo oczywiście wiemy, że o ludziach można mówić dobrze albo wcale, inaczej może się to źle skończyć.

A. Sz.: No właśnie, czekałam, aż dojdiesz do tego wniosku i zejdziemy z tego grząskiego tematu.

A. G.: Nie byłabym sobą, gdybym go nie poruszyła.

A. Sz.: Tak, wiem. Ale wspomniałaś o przyjaciółach – muszę Ci powiedzieć, że najbardziej będę tęsknić za takim codziennym życiem szkolnym, a raczej towarzyskim, rozgrywanym się w szkole – te obserwacje na korytarzu, dyskusje, żarty, ludzie, których spotykasz codziennie.

A. G.: Na studiach na pewno też poznamy wspaniałych ludzi, ale to nie jest to samo. Teraz 5 razy w tygodniu jesteśmy zamknięci w czterech ścianach przez 8 godzin, poznajemy się czy tego chcemy, czy nie. A na studiach hmm, to od nas będzie zależało, czy z jakąś garstką ludzi będziemy spędzać więcej czasu niż musimy. Te nasz rozważania są smutne, ale cóż, kto powiedział, że ma być wesoło...

A. Sz.: W ogóle zapanowała tendencja, że wokół robi się coraz smutniej z miesiąca na miesiąc, nie wiem, czy zauważyłaś. Tak pewnie będzie do maja, po czym nastąpi niekontrolowany wybuch radości.

A. G.: To prawda. Proszę Cię, może jakaś mała wymiana zdań, bo widzę, że za każdym razem się z Tobą zgadzam! Taki mały sparing odświeżyłby naszą rozmowę.

A. Sz.: Słusznie, trzeba poruszyć jakąś ważną kwestię.

A. G.: Mam pomysł!

A. Sz.: No...?

A. G.: Ben Affleck czy Johnny Depp?

W ten sposób rozmowa czasami wymyka się spod kontroli, a jej prowokatorka musi wyciągać wnioski sama. Podsumowując zatem – mimo tego, że wiele razy nauczyciele, koledzy, brak wolnego czasu czy złe oceny doprowadzały nas do furii, to zapamiętamy liceum jako okres względnej beztroski i swobody, bujnego życia towarzyskiego i poznawania wielu nowych ludzi i zjawisk. Za kilka miesięcy je opuścimy i zaczniemy nowy etap w życiu – oby był on jeszcze lepszy niż ten, który kończymy. Czego sobie i Wam życzę.

Studniówka – podsumowanie

Artykuł autorstwa Moniki Kozakiewicz

I minęła studniówka z wielkim hukiem... Impreza ta wzbudzała emocje już od września.

Dla większości to pierwszy bal w życiu. Kilka osób zaangażowało się w sprawy organizacyjne, część trzecioklasistów wzięła udział w części artystycznej, jednak studniówka to temat, który łączy uczniów, bo dotyczy każdego. Niektórzy emocjonowali się tym wydarzeniem od kilku miesięcy, cały pierwszy semestr upłynął im na przygotowaniach. Byli też tacy, którzy potraktowali tę imprezę z przymrużeniem oka, sądząc, że ma to być spontaniczna zabawa, a nie zaplanowany co do minuty ceremoniał. Nie zmienia to jednak faktu, że dla większości studniówka to ważne wydarzenie, pierwsza wspólna zabawa wszystkich uczniów trzecich klas wraz z nauczycielami. Dla niektórych czas przed studniówką to wielki stres, bo: nie mam z kim iść, bo nie umiem tańczyć, bo muzyka będzie kiepska, bo nie lubię swojej klasy... Cały styczeń – próby poloneza, szczegółowe ustalenia, strojenie sali, zakupy... Zauważyłam, że niektórzy na kilka dni przed godziną "zero" odczuwali wielką niechęć do tego wydarzenia. Trochę dziwnym wydaje się półroczne przygotowanie do jednej nocy, ale... Właśnie, taka noc jest tylko jedna i odczuwalny staje się żal, że już po... A przecież wszystko się udało. Wszyscy mieli partnerów i stroje. Wszyscy zatańczyli polone-

za, z tego, co wiem, nikt się nie przewrócił, choć pomyłek nie zabrakło. Kilka par zatańczyło nawet walca, co okazało się dosyć zabawne, przynajmniej dla niektórych. Sala była udekorowana całkiem ładnie, nie było większych problemów. Gdy weszłam na halę, przez chwilę poczułam się jak w namiocie, takie wrażenie zrobił na mnie biały materiał pod sufitem. Motywem przewodnim miał być bal królewski, co nie do końca była wi doczne, ale cóż. Od dekoracji ważniejsza jest zabawa, dobra zabawa. Mieliliśmy wątpliwą przyjemność wysłuchać kilku przemówień, które wydawały się być nauczone na pamięć. Niefortunne ustawienie klas nie pozwoliło niektórym dokładnie obejrzeć części artystycznej. Niewątpliwie jednak dużo osób zaangażowało się w przedstawienie, nie zabrakło elementów humorystycznych. Połączenie sztuki aktorskiej, tanecznej i muzycznej pozwoliło na dostrzeżenie artystów w naszych kolegach. Pojawił się nawet Krzysztof Krawczyk, a na parkiecie zobaczyliśmy też – choć tylko przez chwilę – nauczycieli :) Odbył się także profesjonalny pokaz tańca towarzyskiego w wykonaniu dwóch uczennic i ich partnerów. Jednak te atrakcje były tylko wstępem do tego, na co wszyscy czekali – do tanecznego szaleństwa. Każda klasa miała fotografa i kamerzystę, co dla niektórych było powodem ucieczek przed kamerą, a dla innych okazją do pozowania. Zabawa trwała do 6.00,

więc mieliśmy dużo czasu, aby wykazać się energią. Zespół Horyzonty – wbrew wszelkim obawom – grał muzykę bardzo różnorodną, każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Nie podobały mi się długie przerwy z muzyką puszczaną przez dj-a, ale wiadomo – każdy lubi coś innego. Co kilka minut słychać było dedykacje, piosenki można było także zamawiać, co znaczy, że muzycy byli bardzo ugodowi. Z ogólnych obserwacji można wywnioskować, że większość bawiła się doskonale, parkiet był wypełniony żądnymi zabawy ludźmi. W związku z pracą kamerzystów każda klasa miała określone miejsce, którego powinna się trzymać, jeśli chce zostać ujęta na nagraniu. Niektórzy nie chcieli... Uważam, że nasza studniówka była bardzo udana, dla niektórych wprost niezapomniana. Zabawa była bardzo spontaniczna, obyło się bez żadnych afer, a z min tańczących ludzi można było wywnioskować, że świetnie się bawia. Studniówka to okazja do integracji, co zauważalne było już podczas przygotowań. Temat ten połączył wszystkich trzecioklasistów, a sama noc studniówkowa była zwieńczeniem wspólnej pracy. Taka zabawa zdarza się tylko raz i powinno wykorzystać się ten czas jak najlepiej. Myślę, że nam się to udało. Z wrażen po imprezie wnioskuję, że naprawdę było świetnie, łezka w oku kręci się na samo wspomnienie, że to już po... Oczywiście znajdują się osoby, którym się nie podobało, ale

to zależy raczej od osobistych preferencji co do muzyki czy towarzyszy zabawy. Ogólnie było cudownie! Z niektórymi osobami nie spotkamy się więcej na żadnej imprezie, a wszyscy razem już nigdy nie będą się tak bawić. Pozostaje nam bardzo dużo wspomnień, zabawnych sytuacji, których nie zabrakło. Mamy też zdjęcia, niedługo obejrzymy film. Temat studniówki jeszcze długo będzie obecny, bo w końcu to nie tylko jednorazowa zabawa, ale przede wszystkim niesamowita okazja do poznania ludzi z innej strony. Spontaniczność, radość i energia, którą wyzwalała muzyka, sprawiły, że bawili się wszyscy – uczniowie, a także nauczyciele i rodzice. Nie będzie przesadą, jeśli napiszę, że ta noc będzie niezapomniana.

na. Studniówkę ma się raz, myślę, że dla większości był to naprawdę fajnie spędzony czas. Niektórzy nie mogą się doczekać, aż dostaną zdjęcia i filmy, inni woleliby tego unikać. Ale nie ma tak dobrze, teraz wszyscy zobaczymy, jak bawili się inni. Niektórzy nie kontrolują swoich emocji podczas tańca, więc pewnie podczas oglądania filmu będą się czerwieniły, ale przecież lepiej zobaczyć siebie w nieco dziwnych pozach na parkiecie, niż w najbardziej nawet korzystnej oprawie – tylko przy stole...

Mam nadzieję, że studniówka była równie udana dla wszystkich, dla mnie na pewno będzie niezapomniana. Mimo późniejszego zmęczenia i odcisków warto było bawić się do

samego końca imprezy, a nawet po niej... Na uwagę zasługuje jeszcze jeden, bardzo pozytywny aspekt – kilka minut przed końcem wokalista zaproponował ostatni wspólny taniec – polonez. Na parkiecie zostało niewiele par, jednak wszyscy zgodnie zatańczyli bez żadnego układu, ot tak, spontanicznie i radośnie. W tej chwili można było poczuć niesamowitą atmosferę i to, że zabawa faktycznie była wspólna i z pewnością udana.

Dotychczas odliczaliśmy dni do studniówki, teraz odliczajmy... nie, nie do matury, a do czteromiesięcznych wakacji, które będą zaraz po niej. I wykorzystajmy ostatnie wspólne miesiące na zacieśnianie więzów, bo przecież jeszcze nieraz możemy się razem bawić :)

Korepetycje – konieczność czy moda?

Artykuł autorstwa Elizy Kleniewskiej

Wielu uczniów naszej szkoły uczęszcza na korepetycje. Różne są tego powody. Niektórzy totalnie nie przyswajają informacji na lekcjach, inni potrzebują więcej czasu na zrozumienie czegoś, znajdują się też tacy, dla których materiał szkolny jest zbyt łatwy i banalny, więc rozszerzają swoją wiedzę poprzez dodatkowe zajęcia. Zastanawiające jest jednak, czy owe korepetycje są autentyczną koniecznością, czy jedynie dziwną modą, która ogarnęła ostatnimi czasy

społeczność szkolną.

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Bywa różnie. Uczniowie czasami nie uważają na lekcjach bądź po prostu na nie nie chodzą, wówczas mają spore braki w bieżącym materiale i bez czyjejś pomocy nie są w stanie nadrobić zaległości. Jednak są to sporadyczne sytuacje, którym nie poświęcę tu zbyt dużo uwagi. Przysłuchując się różnym opiniom uczniowskim, dochodzę do wniosku, że problem naro-

dził się w szkole. Nasze liceum cieczy się bardzo dobrą opinią szkoły o wysokim poziomie nauczania, co niewątpliwie jest prawdą. W porównaniu z innymi ogólniakami wyczuwa się tę różnicę. Jednak niepokojący jest fakt, że większość uczniów naszej szkoły utrzymuje ten wysoki poziom dzięki korepetycjom. Prosząc o opinie w tej sprawie, spotkałam się z takimi mniej więcej odpowiedziami:

- Gdyby nie korki, nigdy bym nie zrozumiał, o co biega w tej czy tamtej lekcji.

Korepetycje pomagają mi się solidnie przygotować do matury. To, co w szkole, to zbyt mało.

Podobnych opinii jest o wiele więcej. Wynika z tego, że korepetycje są koniecznością i bez nich mało kto odnalazłby się w toku zajęć.

Myślę, że problem nie tkwi w programie nauczania, tylko w sposobie prowadzenia lekcji. Przeciętny uczeń powinien wynieść z lekcji trzydzieści procent wiedzy przy uważnym słuchaniu i uczestnictwie w zajęciach. Następnie, utrwalając materiał w domu, jest w stanie odpowiedzieć na ocenę bardzo dobrą przy odpowiedzi ustnej. Rzeczywiście jest niestety zupełnie inna. Uczniowie, wychodząc z zajęć, bardzo często skarżą się, że nie rozumieli danej lekcji i że nic do nich nie do tarło. Zdarza się, że niektórzy nie rozumieją, bo zwyczajnie nie uważają na lekcji.

Weźmy jednak pod uwagę przypadki, gdy uczeń słucha i uważa na lekcji, jednak nic z niej nie wynosi, bo tłumaczenie bądź tok zajęć był niezrozumiały lub zawiły. W takiej sytuacji uczeń nie jest w stanie uzupełnić w domu tych trzydziestu procent wyniesionych z lekcji, gdyż zwyczajnie nie zrozumiał tematu. W takiej sytuacji jedynym wyjściem są korepetycje, na których inny nauczyciel skupia się tylko i wyłącznie na tej jednej osobie i tłumaczy jej wszystko od początku.

Największą popularnością cieszą się korki z języków obcych, w następnej kolejności klasyfikują się przedmioty ściśle jak matematyka, fizyka, czy chemia a na samym końcu znajdują się przedmioty humanistyczne, których popularność wzrasta wśród trzecioklasistów przygotowujących się do rozszerzonych matur z tych przedmiotów.

Podsumowując, mogę powiedzieć, że zjawisko zwiększonej popularności korków nie powinno być dla nas niepokojące. Myślę, że świadczy to o sumienności i ambicji uczniów, którzy robią wszystko, aby zdobyć wiedzę. Nie tylko u nas większość młodzieży korzysta z zajęć dodatkowych, ale w każdej innej szkole zjawisko to jest niemal powszechne. Jest to także z korzyścią dla nauczycieli, którzy nawet po godzinach pracy mogą czerpać satysfakcję ze swojego zawodu, dodatkowo przy tym zarabiając. Uważam, że współczesna młodzież coraz poważniej myśli o swojej przyszłości od coraz to wcześniejszych lat, dlatego robi wszystko, aby nie zagubić się w zawiłym labiryncie wiedzy, zwyczajnie korzystając z pomocy innych.

Filharmonia – niekoniecznie narodowa, koniecznie Potrzebna

Artykuł autorstwa Kamila Fijałskiego

Zwyczajem naszej szkoły jest, że co miesiąc mamy okazję uczestniczyć w muzycznych spotkaniach odbywających się w auli szkolnej, popularnie nazy-

wanych filharmoniach.

Jednak, abstrahując od naszych szkolnych widowisk, czym właściwie jest filharmonia? Najprościej mówiąc, jest

koncertem na dowolny temat, do tego kilka słów na ów wybrany temat, a wszystko to w przystępnej i miłej dla oka i ucha formie. Brzmi znajomo, nieprawdaż? :)

Ależ prawdaż, prawdaż, bo to, co możemy zobaczyć i czego posłuchać w szkole, również można podpiąć pod tę szeroko pojętą definicję. Muzyka poważna, folkowa, czasem zdarzy się też i jakieś mocniejsze brzmienie. Choć nie każdemu akurat może odpowiadać temat spotkania, to zapewniam, że nawet jeśli ktoś był dość sceptycznie nastawiony, to po skończonym przedstawieniu na pewno zmieni zdanie (na przykładzie choćby ostatniej filharmonii na temat kultury i muzyki żydowskiej. Na scenie występował zespół Klezmafour – mogliśmy posłu-

chać kilku jego autorskich utworów, bazujących na motywach kilku kultur, nie tylko żydowskiej).

Takie spotkania niosą dużą wartość intelektualną, poza tym możemy miło spędzić czas, słuchając na żywo utworów, których większość z nas może posłuchać tylko w telewizji lub Internecie. Nie każdemu akurat ta forma będzie pasowała, ale myślę, że większości uczniów podobają się takie spotkania, zwłaszcza po ciężkim dniu pracy. :)

„Autobus – to brzmi tłumnie!*

Artykuł autorstwa Joanny Drzewaszewskiej

Rozpoczęcie nauki w liceum to ważne wydarzenie w życiu każdego gimnazjalisty. Pierwszy miesiąc w murach naszej wspaniałej szkoły już zawsze będzie kojarzył mi się z ogromnym stresem, jeszcze większymi problemami ze wstawaniem i... czasem, w którym znienawidziłam komunikację publiczną. Wstawanie o przyzwoitej porze i powolny spacer do szkoły to coś, czego nigdy nie wybaczę płońszczanom.

Z życia bywalców przystanku

Liczba autobusów, któ-

rymi można się dostać do szkoły na pierwszą lekcję, to – w teorii – 2. W praktyce bywa bardzo różnie. Często jeden z nich gubi się gdzieś po drodze albo przyjeżdża dużo później, niż sugeruje rozkład. Godziny odjazdów to 7:17 i 7:22. Większość podróżników przychodzi na przystanek z poduszką odgniecioną na twarzy i zapuchniętymi oczami, które nie miały jeszcze czasu porządnie się otworzyć. Najwytrwalsi pojawiają się tu jeszcze przed siódmą. Grupka przeobraża się w tłumek, tłumek w tłum, a kiedy godzina przyjazdu

wybija, wszyscy przygotowują się do startu i z determinacją na twarzy obmyślają najzuchwalszy plan szybkiego dostania się do środka autobusu, co wcale nie jest proste, i znalezienia miejsca siedzącego, co graniczy z cudem.

Przystankiem rządzą prawa dżungli. Tylko silni są pewni, że dojadą do szkoły na czas. Słabsi mogą liczyć na spryt, ale to bardzo często za mało., K.S., ZS nr 1, Płońsk

Każdy się po prostu pcha. I co ciekawe, nikt nie ma za złe drugiemu, że właśnie zdzielił go łokciem. Jest zbyt zajęty pchaniem się i wpychaniem własnego łok-

cia w żebra innych pchających się., D.K., 1LO

Czasami tylne wejście jest otwarte. Niektórzy kierowcy nawet pozwalają nim wchodzić bez pokazywania biletów. Zawsze sprawdzam tylne drzwi. Jak są otwarte, to trochę mi szkoda tych z przodu, którzy utknęli już w kolejce do kierowcy., M.Cz., 1LO

Zanim jednak szczęśliwie zasiądzie na swoim miejscu, obrzuca podejrzliwym spojrzeniem majestatycznego kierowcę. Kierowca to, budzący grozę, pan i władca autobusu. Siedzi odizolowany od głośnej gawiedzi jakąś zasłonką z plamami podejrzanego pochodzenia, dzierży dumnie swoje insygnia w postaci kierownicy i... drażka i zajmuje się uporczywym ignorowaniem większości właścicieli biletów miesięcznych, a części z nich karceniem za złożenie, bądź zagięcie biletu. Kiedy ktoś takowego nie posiada i zmuszony jest nabyć tradycyjny, jednorazowy bilet, kierowca obrzuca go zde gustowanym spojrzeniem, a potem, z niemal dostrzegalnym uśmiechem satysfakcji, oznajmia, że „z pięciu złotych to on nie ma wydać i proszę rozmienić”.

Prawdę mówiąc, tych „strasznych” kierowców jest najwyżej trzech. Pozostali podchodzą do wszystkiego z obojętnością i znudzonym wyrazem twarzy. Są też wyjątki.

Nas wozi często taki śmieszny facet, który się wdzięczy do każdej dziewczyny w spódnice. Jak wchodzimy do autobusu, to się uśmiecha i głośno komentuje, jak to miło wozić ładne dziewczyny. Zawsze nam poprawia humor., K.O., 1LO

Road to hell

Kiedy wszystkie miejsca siedzące, stojące, miejsca, których nie ma, wszystkie zakątki i każda przestrzeń jest już zajęta, autobus rusza. Toczy się powoli po oblodzonej o tej porze roku drodze i wydaje z siebie złowrogie skrzypnięcia i chrupnięcia, zagłuszane skutecznie przez gwarne rozmowy podróżnych. Siedzący szczęśliwcy przysypiają, pechowcy starają się nie zwracać uwagi na wątpliwą dbałość towarzysza po prawej o higienę, ci z dobrym humorem opowiadają głupie dowcipy, ci z gorszym dogryzają sobie nawzajem, a ci z przodu, przyklejani do szyby, chcąc nie chcąc, podziwiają nizinny, zaśniony krajobraz.

Najbardziej mnie irytuje, kiedy kierowca, widząc, że nie ma miejsca, żeby wcisnąć między nas szpilkę, zatrzymuje się po trasie i każe nam się przesunąć do tyłu, żeby weszli inni. Jak uda nam się przesunąć o kilka centymetrów to już jest sukces., A.L., 1LO

Najbardziej mnie irytuje, jak widzę ludzi przyklejonych do przedniej szyby w nadjeżdżają-

cym autobusie. Wtedy wiem, że się u nas nie zatrzyma i że znów trzeba będzie łapać okazję, albo kombinować jakiś transport., K.K., ZS nr 1

Kiedy autobus zatrzymuje się na pierwszym przystanku w Płońsku, znów rozpoczyna się rytuał pchania się. Wysiadający z uporem przepychają się pomiędzy tymi, którzy jadą dalej. Ci z kolei z nie mniejszym uporem usiłują pozostać w tym samym miejscu. Uczniowie naszej szkoły wysiadają na przystanku numer dwa, na ulicy Warszawskiej. Rozprostowują kości, pozwalają stawom strzyknąć po niewygodnej podróży i na kilka godzin zapominają o autobusowym koszmarze.

Długa droga do domu

Ostatnią przerwę w szkole spędza się na ustaleniu planu powrotu. Próbować „na ładne oczy” wywalczyć zwolnienie z ostatnich minut lekcji i biec na przystanek, czy doczłapać się do dworca i czekać prawie godzinę na następny autobus? Zrządzeniem losu, godziny odjazdów autobusów dzieli 10-15 minut od skończenia przez nas lekcji. Niektórzy nie mają nawet komfortu planowania, bo jedyny popołudniowy autobus do ich miejscowości odchodzi około siedemnastej. Zwolnienie nie zawsze da się wyegzkwowować, więc pozostaje nam przebycie długiej drogi na PeKaEsy. O tej porze roku bu-



dynek dworca jest zazwyczaj zatłoczony. Ludzie chowają się przed mrozem. Część po-
grążona jest w rozmowach, a
część siedzi samotnie na ławkach i podziwia wątpliwe
wdzięki peerelowskiej archi-
tektury. Mechanizm działa-
nia personelu PKS nadal po-
zostaje dla nas, podróżni-
ków, zagadką...

*Nie potrafię pojąć, dlaczego w
pierwszych dniach miesiąca,
kiedy ludzie chcą kupić mie-
sięczny i kolejka zawija się czte-
ry razy, tylko jedna kasjerka
wydaje bilety., K.S., ZS nr 1*

*Nie wszyscy jeżdżą regularnie
autobusem. Mnie na przykład
podrzuca ojciec, po drodze do
pracy. Zdarzają się dni, kiedy
muszę dojechać autobusem i
przydałaby się jakaś zniżka
uczniowska., P.P., ZS nr 2*

Wsiadanie do autobu-
su powrotnego po porannej
próbie sił jest proste. Jedyny
problem w trakcie drogi po-

wrotnej stanowią inni po-
dróżni... Często zdarza się,
że towarzyszy nam osoba,
która, nie znając dobrodziej-
stwa technicznego, jakim są
słuchawki, umiła sobie po-
dróż odtwarzaniem muzyki
z telefonu i nie przeszkadza
jej w zupełności, że rytm ulu-
bionego kawałka gubi się
splątany z muzyką z radia,
puszczaną przez kierowcę.
Zdarza się, że do tej kakofo-
nii dołączają kolejni pasjona-
ci muzyki i torturują słuch
innych. Sprawą wzroku zaj-
mują się zatracone w uczuciu
pary, które potrafią
„mizdrzyć się” nieprzerwa-
nie przez całą drogę i o ile
miłość to sprawa piękna, nikt
nie powinien się z nią obno-
sić w tak... dosadny sposób.
Zwłaszcza w pełnym nie-
świadomych ofiar autobusie,
które potem wychodzą z nie-
go zniesmaczone i pozba-
wione apetytu.

Niepoprawni optymiści

Dojeżdżanie autobu-
sami nie jest przyjemnym
przeżyciem. Jednak nawet
ten koszmar posiada pewne
pozytywne aspekty.

*Kiedy ukończyliśmy gimna-
zjum, nasza klasa się rozpadła.
W obecnej szkole widuję tylko
kilka osób z klasy gimnazjalnej.
Cieszę się, kiedy możemy spo-
tkać się na przystanku prawie w
komplecie. Oczekiwanie na au-
tobus poświęcone rozmowom i
wspominaniu tych tłustych lat
naprawdę pozytywnie mnie na-
straja., A.L., 1LO*

*W autobusie wyostrza się po-
czucie humoru i sarkazm. Ja się
zawsze dobrze bawię, słuchając
dyskusji i wywodów chłopaków
z tytu., A.P., 1LO*

*Nadzieja, kiedy autobus się
spóźnia, że nie przyjedzie w
ogóle i będzie można wrócić do
domu – bezcenne., K.S., ZS nr 1*

Czasem potrzeba dłu-
goletniego dystansu, aby
przy ponownym spojrzeniu
na niektóre sprawy się
uśmiechnąć. Wspomnienia
są łaskawe i prawdopodobnie
wyeksponują tak nieliczne
wady dojeżdżania auto-
busem i przekształca je w
pulę zabawnych anegdotek z
lat młodości. Jednak oba-
wiam się, że jeszcze długa
droga przede mną. Długa,
pełna przystanków i wypy-
chanych pod żebra łokci.

*aforyzm autorstwa Cypria-
na Czernika

ŚŚłItt FoĆciE, czyli o Młodzieży RP słów kilka

Artykuł autorstwa Kamila Fijałskiego

Przeglądając codziennie różne strony internetowe, a także tak po prostu słuchając tego, co mówią w szkole, radiu (telewizji nie oglądam) coraz częściej dostrzegam coś na kształt dewaluacji zarówno naszego języka, jak i naszej inteligencji. Oczywiście nie mówię tutaj o wszystkich, tylko o jakichś 80 czy 60% młodzieży w wieku mniej więcej 13 – 2x lat. Portale typu nasza – klasa, grono, facebook, rozmowy na gg, smsy, no i kolorowe pisemka o jakże wysokiej wartości intelektualnej typu „Bravo” czy „Trzynastka” tylko przyspieszają owo zjawisko. A w jaki sposób? A w bardzo różny sposób...

Prześledźmy dzień typowego, przeciętnego gimnazjalisty. Zazwyczaj dobrze się uczy, nie ma kłopotów w szkole, w domu, rodzice ciągle pracują, więc 3/4 dnia chłopak ma dla siebie. W tym czasie no oczywiście szkoła, lekcje i inne tego typu „atrakcje”. Następne 6 – 7 godzin dnia, który mu jeszcze pozostał, poświęca komputerowi. Hm... No gdyby jeszcze uczył się angielskiego, programował, tworzył grafikę czy coś w tym rodzaju, to względnie nie można by było uznać tego czasu za stracony. Ale co robi nasz bohater? (dla ułatwienia, a także dla lepszego wczucia się w sytuację nazwijmy go Zbychu <wszelka zbieżność PRZYPADKOWA>). No dobrze, kontynuujmy. Zbychu włącza swój komputer. Na tapiecie jakaś turbodymoniemia-

telna postać z gry, na pulpicie słoneczko gg, Internet Explo(d)er i kilka innych jeszcze programów, z których pobieżnie umie skorzystać.

Zaczyna się... Na początek Zbychu ustawia szpanerski opis na gg typu: „Nie pisać bo robie focie” albo „Piszcie bo nudno” Do tego milion wykrzykników, buziaczków i czego tam jeszcze nie wymyślą... No cóż, ale przynajmniej teraz Zbychu ma spokój nawet wchodząc na Dostępnego, nikt nie napisze, bo przerywanie robienia ślitaśnych foci to praktycznie bluźnierstwo. Wszak, co my będziemy komentować... O! No właśnie. Już myślałem, że Zbychu zapomniał. Wchodzimy na stronę o skomplikowanej nazwie czyli nk.pl. Ooo. Ile nowych foci MołCh! HiHi ^^ AlEśśś tZieBa DaĆ KoMenCiA ^^:.*^:).

No cóż, aż żyletka sama w ręce rdzewieje, ale takie oto teksty są prawdziwą plagą na portalach właśnie typu nk. Same zdjęcia też poziomem artystycznym nie powalają... Ale Zbychowi to nie przeszkadza. To nic, że jego kolega dodał zdjęcie swojego kota, który pije mleko. To nic, że jego koleżanka z klasy dodała 20 nowych zdjęć, na których siedzi na parapecie w łazience. Liczy się lans i szpan. Nawet jeśli trzeba się pochwalić nową miską dla kota czy kafelkami w łazience. Następnie Zbychu otwiera swój profil, a tam 20 nowych komentarzy. Wszystkie w tym samym tonie, guście i pisane tym sa-

mym językiem (nie, nie polskim). Czasem się zdarzy komuś napisać jednak mimo wszystko coś z sensem, no ale ten ktoś to jest innowierca, a jak był mały oglądał Czarodziejkę z Księżyca. Następnie Zbychu, roniąc łezkę wzruszenia, kiedy koledzy chwalili jego nowe kafelki, wchodzi na stronę o nazwie grono.net. I dopiero tam może poczuć się jak u siebie. Nie przeszkadza mu nawet to, że 80% ze swoich 500+ znajomych nie zna albo zna z koleжки w Biedronce. Niestety na gronie nikt nie zostawił nowych komentarzy do foci, więc idziemy stąd. To żalosna strona. Dobra, czas zmienić opis. Hm. No dobra. Może być taki:
„^.*^PoZdrO DłA MołEł
KoffAnLuTcKiej i WśŚiśtKiś
MołCh KoooLerZankUw
^^ :) .***:.*.*.*.*” ?

Może, niestety może...

Tu-du-du-du (ach, to dźwiękonaśladownictwo...!). Napisał! Ktoś napisał! Wreszcie ktoś napisał !!!!!!!!!!!!!1111111111! Ojej, to Infobot... No trudno. Znudzony Zbych chodzi po różnych stronach w Internecie typu sweetbrokacik.pl czy blogach różnych imoł-ludzi, którzy wsadzając sobie cyrkiel w ucho uważają się za zwykłych zjadaczy chleba, znaczy się ten... zjadaczy kotów. W międzyczasie kilka stron poczekalni na Demotywatorach, oczywiście wszystkie demoty beznadziejne i Zbychu z mściwym uśmiechem daje minusy wszystkiemu, co nie jest na głównej. Ale, ale... Gdzie SoM MołE GasSsEtKi ? I

wypowiedziawszy te słowa, kot Zbycha zbił szybę w salonie. Niestety, kot uciekł, ale za to w akcie ostatecznej desperacji chwycił pazurami za dopiero co kupiony nowy numer Bravo ze szpanerskimi diodami na fon w kształcie widelca czy mydła. Zbychu, zrozpaczony stratą kilku złotych, wszedł na facebook, ale natychmiast usunął konto, bo nikt nie skomentował jego ślit fotek. Na koniec dnia, chyba już z nudów, Zbychu wyciągnął książki z plecaka i pouczył się na jutrzejszy sprawdzian z wdż. Hm... Chyba się nie nauczył tego, co potrzeba...

W tym miejscu skończymy naszą opowieść. Jak widać, potrzeba dowartościowania się osobników rodzaju ludzkiego zazwyczaj w tym samym lub podobnym wieku jest bardzo silna. Tylko szkoda, że nasza dzisiejsza młodzież nie umie już mówić dosyć poprawnie. Bo jeśli już to albo każdy z nas robi za Asha Ketchuma, albo przenosimy się do czasów starszych od starożytności, kiedy ludzie wszystkie swoje potrzeby załatwiali za pomocą zaostzonego kijka i kamienia. Niestety najgorsze jest to, iż nie możemy nic z tym zrobić. Dzieciaki patrzące tylko w monitor i niewidzące w nim nic, co można uznać za przyzwoite, raczej nie stanowią (przynajmniej dla mnie) jakiegokolwiek pociechy na przyszłe lata. Strach pomyśleć, co to będzie, gdy wszyscy ci, dziś jeszcze niepełnoletni, zaczną pracować, zakładać rodziny, w końcu i oni będą przez kilka (naście) lat rządzić też naszym krajem. Oczywiście ja wiem, że

dorastanie, że dojrzewanie, że lans, że szpan itp. ale mimo wszystko prognoza na jutro jest dość pochmurna. I to nie tylko za sprawą chłopaków, którzy znaki przestankowe zdegradowali do wyrazów 4 i 5 – literowych ani za sprawą dziewczyn, które no... no to może już nie tutaj :). Bardziej martwi mnie jednak to, że ci, którzy nie dali się zwariować (no przecież muszą być tacy!) nie będą w stanie się wybić. A całą naszą przyszłość będziemy musieli złożyć w ręce tych, którym dziś za żadne skarby byśmy nie powierzyli. A ci wszyscy, myślący o czymś więcej niż o fociach, komenciach i euro-gąbkach, wyjadą do Anglii czy Irlandii. A wtedy... Możesz zacząć się bać...

Kończąc tym trochę pesymistycznym akcentem, który zasadniczo odbiegł od głównego tematu, chce tylko powiedzieć: Głowa do góry :) Cieszymy się chwilą i (miejmy nadzieję) tym, że to nie my prowadzimy sLiT BLOsZki Jak pOderWaĆĆ NiUnięĘ...

Tak na koniec jeszcze, żeby nieco zobiektywizować artykuł, kilka wypowiedzi innych osób:) Bez zbędnego sli-ciowania i tego typu rzeczy:)

Łucja:

Różnego rodzaju portale społecznościowe to dla mnie okno na świat. Zawsze można z kimś pogadać, tak mniej lub bardziej formalnie niezależnie od tego, gdzie się znajduje. Choć mimo wszystko drażni mnie, ile teraz się wyrabia na

stronach typu nk.pl (np. super zdjęcia niemal nagich dziewcząt), to i tak zawsze będzie obecny ten plus, że można z kimś odnowić starą znajomość sprzed lat.

Przemek:

Moim zdaniem portale społecznościowe miały jasno określony cel i spełniały go do momentu pojawienia się dzieci – pokemonów, które tylko zaśmiecają, prowokują i nie wnoszą nic wartościowego na tego typu strony. Najgorsza jest jednak świadomość, że tacy ludzie po prostu dorosną. Jakie to rzeczy będą się dziać w naszym kraju, skoro teraz gwałcenie języka, walka o komputer (np. w naszej czytelnii) i inne rzeczy, które obrazują niski poziom umysłowy, niezbyt napawają optymizmem przed czekającą nas przyszłością.

Kuba:

A ja tam lubię takie rzeczy i nie mówcie mi, że to jest nie potrzebne czy wręcz głupie. Dodawanie zdjęć czy dawanie komentarzy nie jest przejawem głupoty. Tylko po prostu jak się komuś nudzi, to robi takie rzeczy. I naprawdę nie rozumiem ludzi, którzy widzą w tym coś dziwnego czy mniej inteligentnego od grania w jakiegoś tam Football Managera.

(wypowiedź skrócona ze względu na wysoki poziom cukru we krwi, który to został wywołany ową wypowiedzią – przyp. red.).

PS Jeśli ktoś się czuje obrażony czy coś w tym rodzaju to maila ślij:

exolrius@gmail.com

Z cyklu: Pseudointeligenci atakują na gg

GG na szczęście nie służy tylko ślitaśnym rozmowom o niczym, może też... Zresztą poczytajcie sami, czyli – A i T nie mogą spać (!). Współczesna wersja nocnych Polaków rozmów.

A: Niech ktoś mi spróbuje wmówić, że nie zmierzamy w dół. Że nie chcemy dotknąć dna. Oczywiście, że każdy gdzieś tam w głębi o tym marzy.

T: Chyba nikt nie będzie w stanie Ci tego wmówić, tylko my w tym podświadomym ciągnięciu w dół widzimy sens, czy nie jest to dążenie do piękna tragedii?

A: Pięknej tragedii. Podziw rozpaczcy nie do z niesienia, takie tam. Wady nie są pociągające w pewien sposób?

T: Jeśli już, to tylko ich poszukiwanie. Ale zauważ, że raczej od dna możemy się tylko odbić, pamiętając jak bardzo brakowało nam tam na dole powietrza. Osiągając dno, dostajesz pełny system odniesień, możesz obiektywnie stwierdzić, czy i kiedy jest źle.

A: Tylko wiesz, ten piasek na dnie się przesuwa, osuwa, kumuluje, erozja. Więc znów wracasz, żeby zobaczyć jak to jest, bo to dno jest za każdym razem inne.

T: Myślisz, że raz nie wystarczy?

A: Poszukiwanie. Poszukiwanie samo w sobie jest procesem ekscytującym – zawsze. Nie podobała Ci się nigdy czyjaś wada?

T: Poczucie tej niemocy nie wystarczy? Nie podoba, prędzej denerwuje. Chyba, że aż tak

bardzo nie lubię osoby ją posiadającej.

A: Myślę, że nie. Ta niemoc zdarzyła się w określonym miejscu i w określonym czasie. Była specyficzna. Jest jak szatan trochę?). Kusi, pokazuje kolorowe kamyczki w jakimś nieznanym zagłębieniu i lecisz!

T: Przecież dno tylko jako idea jest pociągające, jako przeżycie zdecydowanie odrzuca.

A: To dlaczego uwielbiamy się w nim babrać? Zamiast płynąć do góry?

T: Z jednej strony chęć pocucia dna, zyskania skali, porównania, z drugiej poznania granicy wiedzy, zrozumienia świata, to zawsze przynosi błoto, dno.

A: Gdzie tu odrzucenie?

T: Widzę je jedynie w kontekście wyboru. Nie odrzuca jako sama idea, jako idea przyciąga, jak szatan??

A: A trwanie w nim? Kochamy te ubolewające spojrzenia, to bezkarne turlanie się w pysze, to rosnące poczucie wielkości. Wcale nas nie odrzuca, przyciąga jak się tylko da.

T: Mimo to uważam, że odrzuca. Dno to ból, bez względu na to, co poza tym odczuwamy. Pojawia się tu oprócz tego wyższość nad innym, tylko kwestia tego, co będzie silniejsze, tak?

A: Dlaczego rozpatrujesz ból w kategoriach pejoratywnych? Uwielbiamy mocne, ścinające z nóg uczucia. Uwielbiamy więc ból. To, że mówi się jedynie o namiętnej miłości i niszczącej nienawiści, nie znaczy, że nie istnieją też inne ekstremalne przeżycia. Ból się na pewno do nich zalicza.

T: Dochodzisz to karkołomnego

wniosku: uwielbiamy ból. Chyba skręciłaś właśnie na nim kark. Ból to tylko jeden z elementów składowych tych pojęć. Wyciąganie ta tej podstawie, takich wniosków... Rozumiem, masz inne podstawy, ale nie widzisz logiki w odstręczaniu ludzi przez ból?

A: Spodobało Ci się słowo karkołomny, czyż nie? Nie widzę. Są tysiące rodzajów bólu. Każdy z nas jest jednostką bazująca na zasadach autodestrukcji. Ból sprawia, że czujesz, że żyjesz. Kiedy sobie płyniesz spokojnie, łagodnie, obracasz się w poczuciu nierzeczywistości. Kiedy ocierasz się o ostre kamienie na dnie, wpadasz na skarpy, lawirujesz pomiędzy parzącymi płaszczkami – to jest dopiero coś, to dopiero stanowi jakąś wartość. Robienie czegoś złego, niedozwolonego daje poczucie władzy, każdy chce zmieniać świat. Dno możesz kształtować, rzeźbić jak Ci się podoba. Prądu, kierunku wody nie zmienisz. Wiesz, na czym polega zasadnicza różnica pomiędzy szczytem szczęścia a dnem rozpaczcy? Wiesz, dlaczego dno zawsze wygrywa? Na szczycie jesteśmy tylko przez chwilę, przynajmniej większość ludzi ma wbudowane czujki, które tylko przez moment rejestrują to poczucie spełnienia, zwycięstwa, na dnie możemy się bawić do woli.

T: Nie tyle do woli, ale na pewno dłużej niż czujemy spełnienie.

A: Oczywiście, że do woli. Tylko Ty jesteś odpowiedzialny za wyznaczenie granic czasowych bólu.

T: Dokładniej moja psychika i moja odporność. Mówisz o tym jak o wchodzeniu do basenu: wskakujesz – trampolina, wychodzisz drabinkami, ale tylko dlatego, że tak to jest postrzegane przez (nasz ulubiony) ogół. Tylko w tym przypadku wyjście często bywa jedno i to mało ciekawe. Dno ma to do siebie, że trudno z niego wyjść. Z tej perspektywy granice czasowe są dość zacieśnione.

A: Pewnie, że trudno. Nigdy nie twierdziłam niczego innego. I bynajmniej nie chciałam tworzyć basenu, drabinek i trampoliny. Jest trudno, ale jest to możliwe. Chciałam się raczej skupić na tym, że ludzie często nie chcą, po prostu nie chcą z niego wychodzić. Twoja psychika i Twoja odporność, jakby nie patrzył tworzą Cię. Jesteśmy kreaturami rozwojowymi, zapewne nie dostosujesz idealnie swojej wrażliwości, psychiki do danego wyjścia z bagna, ale zauważ, że pewne aspekty możesz dodawać, możesz z niektórymi walczyć, nie jesteś bezsilny. A mimo to, mnóstwo osób nie chce dostrzec tego wyjścia,

nie chce basenu opuścić.

T: W tym przypadku wyższość i pragnienie zmiany, kontroli jest silniejsze. Opuszczanie basenu to z kolei ucieczka przed czym? Czyżby przed bólem?

A: Dlaczego ucieczka? Okazuje się, że metafora jest nieodpowiednia. To pokonanie bólu, nie tak? Nie widzę pragnienia zmiany, skoro tam zostają. Co do poczucia kontroli, to nie masz go, nie czujesz na dnie? Nawiązywałam przecież do kształtowania dna. Posunęłabym się dalej, mówiąc, że potrafimy sobie ten ból dawkować, ale to byłoby zbyt okrutne wytykanie naszej kłamliwości i obłudy.

T: Gdzie tu obłuda i kłamliwość?

A: Pokazujemy jak bardzo cierpimy, hiperbolizujemy wszystko dla użytku publicznego.

T: Pragnienie zmiany widać u tych szukających ucieczki z dna, sama wskazałaś, że tacy istnieją.

A: Ojej. Zdarzają się wyjątki.

T: Hiperbolizujemy nawet jeśli tak naprawdę nikogo nie obchodzimy...?

A: Zdaje się nam, że wtedy zaczniemy. Znasz zwrot: łączymy się z panią (wdową) w bólu?

T: Choć w domyśle zazdrościmy spadku:)

A: Wow. Nareszcie jakiś element humorystyczny naszej rozmowy. Może nieodpowiednie jest nieustannie wskazywanie na całe zło ludzi. W sumie jest tylu, którzy walczą bez tchu o szczęście, którzy umieją i chcą się cieszyć. Chyba, mimo wszystko, dochodzimy do tych samych wniosków.

T: Że warto doceniać każdą chwilę na szczycie. Że nie wolno się poddawać i sięgać po szczęście. Że ból nie jest bezwartościowy, ale przy długim użyciu bardziej niszczy niż cokolwiek daje.

A: Te same stwierdzenia można odnieść do dna. Chwile na dnie również nie są pozbawione sensu, przy odpowiednim podejściu wzbogacają.

T: Pozostaje nam budująca konkluzja: pod względem wartości poznawczej ból i szczęście dorównują sobie.

FIN

W świecie seriali

Artykuł autorstwa Ewy Dzitowskiej

Zwyczajna pogawędka o niczym na szkolnym korytarzu. „Wiecie, mój ojciec się starzeje. Zaczął oglądać seriale!” – rzuca niespodziewanie jeden z moich kolegów. Otaczająca go grupka osób reaguje w ten sam sposób – wybuchamy śmiechem. Wydawało by się, iż scena ta świetnie ukazuje stosunek współczesnych nastolatków

do telenowel. Do niedawna również zdawało mi się, że seriale to rozrywka bliska wyłącznie emerytom, z pasją zgłębiającym coraz to nowe koleje losów swych ulubionych bohaterów, oddającym się przy tym jakże fascynującym robotkom ręcznym. Pozory jednak mylą. Ostatnio coraz częściej na korytarzach szkoły słyszę – „A widziałas ostatni odcinek Maj-

ki?”. Na przerwie koleżanka opowiada mi, jak to spędziła dwie godziny ostatniej soboty, oglądając powtórki „BrzudUli”, zachwalając przy tym wszystkie walory filmu i zachęcając do śledzenia dalszych losów tytułowej bohaterki. Jadąc na wycieczkę, zauważam, jak zgromadzone w kółku dziewczyny z rozrzwinięciem wręcz wspominają

ostatni odcinek „Plotkary”. Z niemalym zdziwieniem muszę przyznać, iż dochodzę do wniosku, że temat telenowel wcale nie jest nam obcy.

Aby utwierdzić się co do słuszności własnych spostrzeżeń, zadaję kilka pytań odnośnie telewizyjnych produkcji kilku kolegom i koleżankom z naszej szkoły. Na pierwsze z nich: „Czy oglądasz regularnie jakiś serial/e?” otrzymuję mniej więcej tyle samo odpowiedzi twierdzących, jak i przeczących. Jednak wyłącznie trzy pytane przeze mnie osoby zdecydowanie zaprzeczają, jakoby poświęcały swój wolny czas na tego typu rozrywkę. Poza nimi wszyscy moi rozmówcy przyznają, iż oglądanie seriali sprawia im przyjemność i gdyby nie pewne czynniki, takie jak choćby brak czasu czy nieodpowiednia pora emisji, oddawaliby się temu zajęciu zdecydowanie częściej. Zadając pytania, spotykam również osoby, które w ramach noworocznych postanowień zobowiązują się do zaprzestania śledzenia dalszych losów bohaterów „Mody na sukces” czy ograniczenia się do oglądania tylko jednego serialu. Dziwne? Śmieszne? Zważając, co właściwie proponują nam telewizyjne produkcje, nie byłabym tego taka pewna.

Większość moich rozmówców lubi oglądać seriale, ponieważ stanowią one skuteczną odskocznnię od rzeczywistości. Dzięki nim chociaż przez chwilę mamy styczność z własnymi marzeniami – są wręcz namacalne, wydają się możliwe do spełnienia. Losy ulubionych bohaterów pozwalają na nowo

uwierzyć w prawdziwą miłość, szczęście czy radość ludzkiej egzystencji. Ich perypetie oraz związane z nimi konsekwencje choć na chwilę utrzymują w nas wiarę w zwycięstwo dobra nad złem, miłości nad nienawiścią, sprawiedliwości nad niesprawiedliwością. I, co najważniejsze, każda sytuacja, niezależnie od wcześniejszych, momentami tragicznych zwrotów akcji, zawsze kończy się happy endem. Czy taka wizja rzeczywistości nie wydaje się po prostu idealna? Czy te kilka minut każdego dnia nie jest warte znalezienia się w tym wspaniałym świecie?

Jako kolejny atut seriali moi rozmówcy wymieniają również styczność z bliskimi każdemu z nas problemami dnia codziennego. Mając świadomość, iż serialowa Ula czy Hania, podobnie jak my, mają problemy w szkole, zostają odrzucone przez przyjaciół czy niezrozumiane przez rodziców, czujemy się lepiej, wiedząc, że nie jesteśmy osamotnieni z własnymi kłopotami. Śledząc losy bohaterów często otrzymujemy również rozwiązanie, jak uporać się z trudnościami, które nas spotykają. Zdaniem moich kolegów, za oglądaniem seriali przemawia również stała pora emisji, do której z czasem się przyzwyczajamy. Po pewnym czasie staje się on obowiązkowym punktem naszego dnia i pozwala utrzymać nas w przekonaniu o panującym w naszym życiu porządku. Jest to również czynność niewymagająca od nas żadnego wysiłku, co po męczącym dniu w szkole może okazać się idealnym środkiem na wszelki stres czy smu-

tek.

Za popularność seriali w społeczeństwie odpowiedzialna jest również prężnie działająca za nimi machina medialna. Obecnie najnowsze produkcje telewizyjne reklamowane są po prostu wszędzie – w radiu, telewizji, prasie, Internecie. Serialowych bohaterów można spotkać również na billboardach znajdujących się przy drogach i w dużych miastach. Coraz powszechniejsze stają się spotkania organizowane dla fanów telenowel, podczas których wielbiciele filmu mogą porozmawiać z aktorami odgrywającymi ich ulubionych bohaterów, zobaczyć studio, w którym nagrywana zostaje produkcja czy otrzymać filmowe gadżety. Jak widać, cały mechanizm, wciąż poruszany i rozbudowywany przez stacje telewizyjne, działa bez zarzutu.

Seriale, mimo tak wielu przemawiających za nimi atutów, nie są jednak pozbawione wad. Jedną z nich, którą wymieniłam już wcześniej, jest jednocześnie zaletą, a mianowicie – zbyt wyidealizowana wizja rzeczywistości. Osoba słaba psychicznie, nieradząca sobie z własnymi problemami, obserwując wiecznie uśmiechnięte twarze filmowych bohaterów oraz ich zawsze zwycięską walkę z problemami zaczyna wątpić we własne możliwości, tracić pewność siebie, w skrajnych wypadkach popadać w depresję. Problem stanowi również częstotliwość emisji produkcji, która z czasem może prowadzić do uzależnień, co jest naprawdę niebezpiecznym zjawiskiem, zarówno dla kondycji fizycznej, jak i psychicznej.

Każdy z nas ma prawo decydowania o tym, w jaki sposób wykorzysta własny czas wolny. Jedni poświęcą go na kolejny odcinek „Pierwszej miłości”, jeszcze inni na spacer z psem, a kolejni na spotkanie z przyjaciółmi. Mamy wybór i

wolną wolę – wystarczy tylko zdecydować. Ja wybieram przyjaciół. A Ty?

Linia, tyczką mogę być

Artykuł autorstwa Oli Dobrzyńskiej

45, 45, 45 – powtarzają w kółko. Tyle kilogramów sprawi, że poczują się piękne, cudowne, idealne. To ich granica, którą pragną i muszą przekraczać zawsze i wszędzie. To ich cel – zwiększyć poprzeczkę, ważyć mniej i być przez to wspanialszą. Potrzebują dotknąć swoich wystających kości i postukać „nogami” w takt muzyki. Wówczas czują się szczęśliwe, mimo że nie mają siły tego wykrzyknąć, ale to przecież jedynie drobiazg... Kromka dziennie

w zupełności wypełnia ich zapotrzebowanie żywnościowe. Nie mogą sobie pozwolić na żadne masło, a tym bardziej łyżkę cukru w herbacie. To ich życie, to ich raj. Tracą łaknienie, popadają z tego powodu w euforię. Już nigdy więcej nie spojrzą na pieczoną pierś z kurczaka

z chęcią zjedzenia, spałaszowania! Pokarm to najgorsze zło, jakie istnieje na tym świecie.

A tłuszcz ohydztwo, które należy wyeliminować ze swego ciała. Pragną poczuć się szczupłymi, pociągającymi kobietami bez nadmiernych fałd tu i ówdzie. Zaiste, szlachetne. Liczą

kalorie, liczą kilogramy, liczą wypadające włosy i głodują dla piękna.

Żyją według ustalonych zasad.

Dziesięć przykazań świadomej anorektyczki:

1. *Quo me nutrit, me destrukt* – co mnie żywi, niszczy mnie.
2. Porażka nie wchodzi w rachubę.
3. Jedz mniej – waż mniej.
4. Jesteś tym, co zjadasz.
5. Kalorie nie są w stanie Cię unieszczęśliwić.
6. Jedzmy mniej, aby inni mieli więcej.
7. Jeśli zaczniesz jeść, nie będziesz mogła skończyć.
8. W ogóle nie myśl o jedzeniu i nie jedz – jedzenie sprawia, że stajesz się gruba.
9. Jedzenie jest moim wrogiem.

Nie wolno mi chcieć.

Nic w tym trudnego, wystarczy nie chcieć. Wystarczy zjeść jednego sucharka (dwa są dozwolone tylko w święta). Dostosować się do tych surowych zasad i chudnąć.

Trzeba przyznać, potrafią dziewczyny mieć silną wolę, potrafią się kontrolować. Wykonują działania na liczbach. To wszystko wychodzi im perfekcyjnie. Ale nie dziwmy się. Dążąc do perfekcji, nie mogą być inne. Mają cel! Mają swój sens życia, który w końcu tak trudno odnaleźć. Nie zatruwają swojego organizmu fast food'em, bo dostarczają mu jedynie płynnych substancji. Wiele w tym zalet jak widzę. Tylko czemu wciąż nie rajcuje mnie ich mania na punkcie „małości”? Może to efekt czystej zazdrości albo braku głębszych rozmyślań? Nie mam bladego pojęcia. Ale wiem jedno – pięknnością pozo stanie dla mnie Marilyn Monroe i Brigitte Bardot. Oddaję pokłon tym paniom i wielbię na zawsze! Ich kształty, ich niezwykła przez to kobiecość, a przede wszystkim pewność siebie dają mi nadzieję, że może kiedyś i ode mnie będzie było takim blaskiem... No wybaczenie, ale nikt mi nie powie, nikt nie zaprzeczy, że ta kobieta z „Pół żartu, pół serio” nie jest urocza (tak, napisałam to świadomie w czasie teraźniejszym). Jest, jest, jest!

I koniec już o niej.

Myślę, że nie napiszę teraz nic odkrywczego, ale anoreksja jest chorobą. Ta przyjaciółka wyżera człowiekowi resztki racjonalnego myślenia. Buntuje przeciwko światu. Tworzy toksyczny związek ze swoim żywicielem. Pragnie go mieć na wyłączność. I zazwyczaj jej się udaje... Zresztą sami oceńcie:

„Cześć, mam 22 lata i jestem anorektyczką, i jestem zadowolona z tego, jak wyglądam, choć chciałabym schudnąć jeszcze bardziej. Chiałabym zaapelować do lekarzy, żeby nam, chorym, nie próbowali wmawiać na siłę, że mamy przytyć, żeby wyglądać jak normalni ludzie za wszelką cenę. Opowiem krótko na własnym przykładzie. Byłam

w niejednym szpitalu i z każdego wychodziłam z wagą znacznie większą niż do niego trafiłam, ale to jest tylko na jakiś czas, lekarze nie rozumieją tego, że to, iż przytyjemy i mówimy, że czujemy się lepiej i jest nam lepiej, to stek kłamstw. W rzeczywistości, kiedy wracamy z takich szpitali, jest nam tak źle i czujemy się jak grube świny, i wtedy tak naprawdę przychodzą nam do głowy różne myśli samobójcze, bo wy, kochani lekarze, uszczęśliwiacie nas i zmuszacie do jedzenia na siłę, a to nie tędy droga. Im więcej jesteśmy zmuszane i im więcej tyjemy, tym bardziej czujemy się niepotrzebne i nie chcemy być już na tym świecie.”

Źli lekarze, bardzo źli. Wyrządzają ludziom taką krzywdę... Nie mam słów.

Znaleźć w Internecie

podobne rozważania nie jest trudno. Nie wspominając o stronach poświęconych pro an-na, czyli ogólnie i najprościej rzecz ujmując, ruchu popierającego anoreksję. Najwięcej o nim wspominają młode, dopiero wstępujące w ten „mikro świat”, dziewczyny. Wymieniają się poradami. Chociażby doradzają sobie rodzaje herbatki przeczyszczających. Dyskutują o ilości sucharków dziennie. Czasem siebie nawzajem karzą. Nie mogą pozwolić, by ich współtowarzyszka zrobiła sobie jajecznicę z dwóch jajek na śniadanie. To jest nie do pomyślenia w ich świecie. W moim, jak najbardziej tak. To zasadnicza różnica między nami. Nie zaakceptowałyby mnie w swoim elitarnym gronie.

Na koniec pozwolę sobie na odrobinę refleksji. Wiem, jak trudno jest siebie polubić. Wiem, że nienawidzimy swoich niedoskonałości. Walczymy z nimi różnymi dietami, ćwiczeniami, a one mimo wszystko wciąż są. To straszne, to boli. Patrzenie w lustro też czasem boli. Kolejne frustrujące doświadczenie. Ale przyszło nam z tymi defektami żyć. One zawsze będą. Tylko od nas zależy, czy zechcemy je zaakceptować. Nieważne, czy są te cholerne dodatkowe kilogramy w biodrach, czy fałdki na brzuchu. Istotne jest to, że jesteśmy piękni. Po prostu. Ja wychodzę z założenia, że każde ciało ludzkie jest dziełem sztuki. Wykonane sprawną ręką artysty, czy też odurzonego alkoholem rzeźmieślnika.

W każdym jest dusza, zapal i tajemniczość. Tego się

trzymajmy, a rozmiar S spalmy na stosie! Albo lepiej, wbijmy na pal!

Ot, idę zjeść kotlet schabowy z frytkami

PS Jeszcze coś. Zawsze dołuję się przy „Creep”. Nie róbcie tego w domu.

A co o swoim ciele myśłą nasze koleżanki? Pragną zmian, czy może akceptują siebie w całości?

Agnieszka: Obecnie czuję się pewna siebie i jakoś nie jest moim pragnieniem, aby zmieniać swoje ciało. Po prostu czuję się kobieca mimo tego, że na pewno mam tu i ówdzie więcej niż przewiduję. Ale droga do obecnego stanu wiodła przez trudny okres dojrzewania, kiedy chciałam zmienić praktycznie wszystko.

Sylwia: Kiedyś się ogromnie wstydziłam swojego ciała z dość sporą nadwagą. Dzisiaj kocham je i muszę powiedzieć, że dzięki samoakceptacji dużo lepiej idzie mi dieta, czuję się ładniejsza, mam większą pewność siebie. Ach, cudownie jest kochać swoje wszystkie kilogramy, ach ile to miłości :)!

Ania: Nie mam problemów z własnym wyglądem. Zdaję sobie sprawę z tego, że mogłabym wyglądać szczuplej, ale zazwyczajnie za bardzo lubię jeść, by zacząć się odchudzać. Tym bardziej, że nie potrzebuję tego, nie jest to rzecz dla mnie najważniejsza. Przede wszystkim zale-

ży mi na tym, by wyglądać czy-
sto i schludnie, abym sama do-
brze się czuła ze sobą i nie prze-
szkadzała funkcjonować in-
nym. Jeśli chodzi o modelki, to
wszystko mi jedno, ile ważą.

Jeśli sesja zdjęciowa w gazecie
jest dobra, to po prostu cieszę
się, mogąc obejrzyć dobre zdję-

cia, czy z modelkami bardzo
szczupłymi, czy z tymi z za-
okrąglonymi kształtami. Poza
tym lubię różnorodność :)

- Dominika: Nie przepadam
za swoim ciałem. Wciąż coś mi
się w nim nie podoba. A to zbyt

wystający brzuch, a to jakieś
fałdki zza spodni wychodzą.
Naprawdę nic przyjemnego.
Takie nastawienie do swojego
wyglądu nie ułatwia życia.
Wręcz przeciwnie. Chciałabym
spojrzeć kiedyś w lustro i móc
wykrzyczeć: „Jest dobrze!”

ZHR, czyli początków nie ma końca

Artykuł autorstwa Kamila Fijałskiego

Każdy z nas choć raz
w życiu po prostu musiał wi-
dzieć harcerza. Czy to na uli-
cy, w sklepie, czasem zdarzy
się, że i w kościele. Harcerze
jak to harcerze. To tu to tam,
wszędzie ich pełno. Mimo
wszystko tylko niewielka
część osób wie – lub przy-
najmniej zdaje sobie w ja-
kimś stopniu sprawę – z te-
go, jak wygląda działalność
harcerska. Jeśli ktoś chce po-
siąść tę jakże cenną wiedzę, a
może nawet i założyć mun-
dur, to zapraszam do prze-
czytania tego artykułu :).

Związek Harcerstwa
Rzeczypospolitej to druga co
do wielkości organizacja har-
cerska działająca na terenie
naszego kraju. Mimo iż ist-
nieje od 1989 roku, uważana
jest za rzeczywistego spad-
kobiercę tradycji harcerstwa
okresu międzywojennego.

Za założyciela ZHR
uznawany jest hm RP To-
masz Strzebmosz HR, który
był też pierwszym przewod-
niczącym związku. Jest on
również jedynym harcerzem,

który otrzymał najwyższy
stopień instruktorski w na-
szym kraju – Harcmistrza
Rzeczypospolitej, obecnie
nadawanego już tylko po-
śmiertnie.

W szeregi związku
może wstąpić każdy niezale-
żnie od narodowości (choć
obcokrajowcy są swego ro-
dzaju ewenementem), rasy,
pochodzenia oraz wiary. Po-
czątek drogi harcerskiej ma
miejsce w magicznym mo-
mencie uczestnictwa w
pierwszej zbiórce. Cała
otoczką i atmosfera towarzy-
sząca takim zwykle cotygo-
dniowym spotkaniom tworzy
jedyny w swoim rodzaju
klimat, którego nie da się z
niczym porównać. Nastę-
pnym etapem jest tak zwana
próba na harcerza, która
trwa zazwyczaj 3 miesiące, a
kończy się zdobyciem mun-
duru. Zdobyć mundur jed-
nak wcale nie jest tak łatwo,
gdyż sam moment założenia
go jest poprzedzony
„biegiem”, czyli połącze-
niem... w zasadzie wszyst-
kiego :). Normalny bieg po

10 kilometrowej trasie, sa-
motna wędrowka w nocy po
lesie, ew. pompki, pompki i
jeszcze raz pompki (w wersji
żeńskiej – przysiady).

I od tego momentu
jesteśmy już uznawani za H
A R C E R Z A. Wow, nie?
Ale to wcale nie koniec. Bo to
dopiero początek. Oznakami
dojrzewania w harcerstwie,
poniekąd skorelowanymi z
dojrzywaniem biologicznym
i psychicznym, są tzw. stop-
nie harcerskie. 5 stopni jak 5
palców u ręki :). Proste. Zdo-
bywając pierwszy stopień,
harcerz bądź harcerka otrzy-
muje krzyż harcerski, który
to moment jest połączony ze
złożeniem przyrzeczenia
harcerskiego. Ów moment
zapada w pamięć na długo,
w zasadzie na całe życie. I
znów można powiedzieć, że
jest to dopiero początek. Po-
czątek drogi, która kończy
się zdobyciem najwyższego
stopnia – Harcerza
(Harcerki) Rzeczypospolitej.
W międzyczasie, niektórzy
decydują się również na ka-
rierę instruktorską. Instruk-

tor – osoba w harcerstwie mająca szczególne predyspozycje do wychowywania i kształtowania młodych ludzi. 3 możliwe stopnie do zdobycia + jeden honorowy. I tak czas, mija, mija i mija... Ale to również nie koniec! W ramach organizacji działają kręgi starszoharcerskie skupiające harcerzy w wieku 30+ lat.

Harcerską drogę można podzielić na 4 zasadnicze etapy: zuchów, harcerzy, wędrowników i harcerzy starszych. Zuchy jak to zuchy, dzieci małe, nieogarnięte, ale przynajmniej się jako tako jeszcze słuchają :). Harcerze – czyli ci, których najczęściej w

wieku czwartopodstawówkowo – trzeciogimnazjalnym. Mimo wszystko, najczęściej śmiechu, zabawy i najczęściej chwil do wspomnienia po latach. Wędrownicy, czyli ci, którzy z reguły powinni być już nieco poważniejsi i w ogóle... Powiedzmy, że niech tak będzie :) No i harcerze starsi, czyli druhowie od 30 lat wzwyż.

Na terenie naszego Północnomazowieckiego Hufca Harcerzy działa obecnie kilka drużyn, z których najliczniejszymi i najaktywniej działającymi są drużyny z Płońska, Nasielska, Winnicy i Raciąża. Choć w sumie

jest nas trochę mało, dajemy jakoś radę i wspólnie (czasem) wybieramy się na jakieś obozy, biwaki czy cokolwiek bądź :).

No cóż, tak póki co to może tyle na dobry początek. Gdybyś ktoś byłby zainteresowany czymś jeszcze lub jeśli czegoś dokładnie nie wyjaśniłem, to: exol-rius@gmail.com

I na koniec może cytata Generała Baden – Powella, ojca założyciela skautingu: *„Nie chodzi o to, byśmy osiągnęli nasze najwyższe ideały, lecz o to, aby były one naprawdę wysokie.”*

Dzień z życia Puchacza, czyli czym zajmuje się harcerz!

Artykuł autorstwa Pawła Bałdygi

Sobota, godz. 10:00. Stoję przed harcówką w oczekiwaniu na członków zastępu. Gdy wszyscy się już zbiorą, możemy zaczynać. Na początek krótka modlitwa, po czym przechodzimy do głównych punktów programu.

W tym momencie inicjatywę przejmują inni harcerze. W „Zawiszy” zbiórkę przygotowuje i prowadzi zastępowy. On rozdaje zadania, dzięki czemu każdy ma możliwość rozwijania swoich umiejętności. Zadania przydziela się zazwyczaj zgodnie z funkcją pełnioną przez chłopaka. Kronikarz, Sanitariusz, Liturgista, Wodzirej,

Kucharz, Krzewiciel Sportu, Pionier, Mistrz Orientacji, to tylko nieliczne z możliwych funkcji. I tak Wodzirej przygotowuje nową piosenkę ze śpiewnika harcerskiego, po czym uczy jej zastęp, Sanitariusz pokazuje nam, jak postąpić w razie wypadku, Pionier uczy nas węzłów, Mistrz Orientacji przygotowuje i prowadzi grę na azymut. W ten sposób jedna osoba przygotowuje się dokładnie z tego, co go interesuje, następnie uczy zastęp. Dodatkowo chłopcy nie wysłuchują całego czasu wykładów i teorii. Wszystko odbywa się poprzez grę. Przykładowo, po naucze-

niu się węzłów, organizujemy zawody, kto zawiąże je najszybciej. Zadania nie są skomplikowane i zależą od poziomu poszczególnych harcerzy.

Po wykonaniu zadań przeznaczonych na zbiórkę zbiera się Rada Zastępu. Tworzą ją wszyscy harcerze, którzy mają już chustę. W tym momencie podejmowane są najważniejsze decyzje dotyczące zastępu, jak na przykład przyjęcie nowego członka do zastępu, ustalenie szczegółów odnośnie wyjazdu na biwak lub, co zdarza się rzadko, podziału zastępu. Ważne jest to, że każdy ma możliwość się wypowiedzieć.

Rządzi wtedy taka sama zasada, jak w Rogal Nawy: na każde pytanie i na każdy temat wypowiadają się najpierw najmłodsi, a na samym końcu zastępowy. Pozwala to najmłodszemu na pełne wyrażenie swoich myśli bez strachu powtórzenia czegoś już powiedzianego.

Zbiórka trwa zazwyczaj około 3 godzin i kończy się modlitwą. Służy ona przygotowaniu wszystkich do najpiękniejszego, najbardziej pamiętnego i najwspanialszego momentu w życiu harcerza – do obozu. Wrażenia po obozie są niezapomniane, wspominane wielokrotnie na kolejnych zbiórkach i przekazywane kolejnym harcerzom w formie ustnej, bądź pisemnej.

Ogólny rozwój każdego harcerza podzielony jest na kilka etapów. Gdy przychodzi na pierwszą zbiórkę, jest Kandydatem. Po pewnym czasie, gdy zastępowy uzna, że jest gotowy, zostaje wezwany podczas Rady Zastępu. Jeśli zastępo go przyjmie, może złożyć Przysięgę Wierności zastępowemu. Może już nosić mundur i dostaje chustę. Od tego momentu jest Ochotnikiem. Wykonuje zadania, po czym, gdy zastępowy uzna, że jest gotowy,

zostaje wezwany na Sąd Honorowy. Sąd Honorowy tworzą wszyscy zastępowi wraz z drużynowym. To oni decydują, czy Ochotnik może złożyć Przyrzeczenie i stać się Harcerzem. W tym momencie otrzymuje krzyż na beret. Gdy tak się stanie, rozpoczyna kolejny etap – dąży do zdobycia stopnia Wywiadowcy. Wiąże się to z kolejnymi zadaniami, które (tak samo jak zadania Ochotnika) są ciekawe. Mało osób obecnie potrafi np. posługiwać się Alfabetem Morse'a. Po przyznaniu przez Sąd Honorowy stopnia Wywiadowcy (otrzymuje się zieloną naszywkę na lewy rękaw) można rozpocząć zdobywanie stopnia Ćwika. Otwiera to także dodatkowe możliwości, gdyż od tego momentu może zdobywać sprawności, czyli to, co Tygryski lubią najbardziej. Przyszywane na prawym rękawie świadczą o poziomie, na jakim jest harcerz i jakie techniki są jego mocną stroną. Po zdobyciu stopnia Ćwika (czerwona naszywka) nadal mamy możliwość zdobywania zwykłych sprawności, lecz również sprawności mistrzowskich. Na tym kończy się rozwój harcerza, który jest kontynuowany, gdy w wieku 17 lat stanie się wędrownikiem. Ale to temat na zupełnie inny artykuł.

Nasze szeregi są cały czas otwarte. Zapraszamy wszystkich chętnych, którzy chcieliby przeżyć niesamowitą przygodę. Liczba miejsc nieograniczona.

Wywiadowca Paweł
Bałdyga

Zastępowy Samodziel-
nego Zastępu Puchacz 57.

Sieci Samodzielnych
Zastępów Puszcza

Stowarzyszenie Harcer-
stwa Katolickiego „Zawisza”
Federacja Skautingu Europej-
skiego

Kontakt:

www.fse.pl

Paweł Bałdyga – kl. Ia

Dawid Dominiak – kl. If

Tomek Stawicki – kl. If

Zosia Kowalska – kl. IIz

Koło żywego słowa

Artykuł autorstwa Jakuba Nowaka

Tylko niewielu ludzi, którzy cierpią na kaszel, idzie do lekarza. Większość idzie do teatru.

Alec Guinness

Rozwijaniem kultury żywego słowa w naszej szkole od lat zajmuje się pani mgr Teresa Dworecka, organizując wiele szkolnych przedstawień i apeli oraz prowadząc regularne zajęcia dydaktyczne. Na zajęciach uczniowie mają okazję rozwijać swoje zdolności recytatorskie, ćwicząc zarówno dykcję, jak i umiejętność inter-

pretacji tekstu. Ćwiczenia takie przygotowują uczniów do prawidłowego zachowania na scenie.

Zajęcia Koła Żywego Słowa nie ograniczają się jednak tylko do przygotowywania młodzieży do zawodu aktora. To przede wszystkim dobra zabawa i przyjemnie spędzony w grupie czas.

Ćwiczenia podejmowane w ramach koła rozwijają wyobraźnię i twórcze myślenie.

Koło Żywego Słowa może poszczycić się wieloma udanymi przedstawieniami (takimi

jak np. „Wigilijny paradoks” czy „Audycja radiowa”), a także okazijnymi apelami, organizowanymi z okazji Dnia Edukacji, zakończenia roku szkolnego, Świąt Bożego Narodzenia i wielu innych.

Spotkania Koła Żywego Słowa odbywają się w piątki, a także, od niedawna, we wtorki, już po siódmej godzinie lekcyjnej. Zainteresowani zajęciami większej ilości informacji mogą szukać u autora niniejszego artykułu, bądź u jakiegokolwiek z członków koła.

Fotografia

Artykuł autorstwa Agnieszki Szumańskiej

Wielu ludziom fotografia kojarzy się z robieniem zdjęć na rodzinnych uroczystościach lub w gronie przyjaciół. Jednak dla niektórych jest to coś więcej, głównie ujęcie ciekawego momentu na matrycy lub kliszy. Może się wydawać, że nie jest to aż tak obszerny temat. A jednak...

Fotografia wg encyklopedii to zbiór wielu różnych technik, których celem jest zarejestrowanie trwałego, pojedynczego obrazu za pomocą światła. Ze względu na podział technik fotograficznych dzielimy ją na: cy-

frową i analogową. Pierwsza z nich opiera się na tym, że obraz zapisywany jest na światłoczułej matrycy zamontowanej w aparacie cyfrowym. Dzięki mechanizmowi tego aparatu możemy na bieżąco oglądać zdjęcie, usuwać a nawet edytować. Fotografia analogowa polega zaś na tym, że obraz za pomocą światłoczułych związków srebra przenoszony jest na materiał fotograficzny np. klisze. Zapewne każdy kojarzy typowy aparat na kliszę oraz to, że na efekty trzeba było czekać aż do odbioru z wywołania.

Obecnie najbliższy jest nam aparat cyfrowy zwany potocznie „cyfrówką”. Trzeba tu zaznaczyć, że dzieli się ona jeszcze na: lustrzanki cyfrowe: to aparaty z wbudowanym lustrem przenoszącym obraz z obiektywu do wizjera; aparaty klasy DSLR-like: tzw. Hybrydy, forma przejściowa między kompaktem a lustrzanką. Aparaty kompaktowe posiadają oprócz funkcji robienia zdjęć także nagrywanie filmów. Charakteryzują się niewielkimi rozmiarami, mniej więcej wielkości dłoni; aparaty kie-

szonkowe: mniejsze niż aparaty kompaktowe, o mniejszej ilości funkcji. Zwykle mają grubość kilku lub kilkunastu milimetrów.

Po przedstawieniu rodzajów aparatów może się rodzić pytanie: Czy rodzaj aparatu wpłynie na jakość zdjęcia?

Może, ale nie musi. Obecnie aparaty kompaktowe posiadają bardzo dużo megapixeli – nawet do 15, tak samo jak lustrzanki. Ale co dają pixele, że o nich wspominam? Im więcej pixeli, tym mamy większe zdjęcie lub możemy przeprowadzić dokładniejszy retusz. Przykład: mając aparat 2 MP, otrzymujemy zdjęcia o rozdzielczości 1600x1200 a mając 10 MP mamy 3648x2736. Jednocześnie zdjęcie o większej ilości megapixeli możemy wywołać w większym formacie np. 20x30 bez utraty jakości. Pomijając już rozdzielczość, czy

można rozróżnić zdjęcia, które zostały zrobione aparatem kompaktowym, a które lustrzanką? Między aparatem kompaktowym jednej firmy a drugiej? Między aparatem jednej firmy, lecz różnymi modelami? Naprawdę trudno odpowiedzieć na powyższe pytania, ale czasami się to udaje. Pomimo iż fotografią interesuję się od wielu lat i widziałam nie jedno zdjęcie, nie ukrywam mojego pozytywnego zaskoczenia, że dane fotografia zostało zrobiona zwykłym kompaktem a czasami rozczarowuje mnie, kiedy została wykonana lustrzanką i jej jakość pozostawia dużo do życzenia.

Osobiście przetestowałam kilka aparatów: dwa analogowe oraz trzy kompakty i jedną lustrzankę. Dla osób, które lubią fotografować i chcą więcej wydobyć z aparatu, polecam ten ostatni rodzaj. Dlaczego? Jak dla mnie plusem są

wymienne obiektywy. W zależności od tego, co chcę fotografować, wybieram odpowiednią ogniskową. Do obiektywów możemy także dokupić akcesoria w postaci pierścieni, szkiełek czy konwerterów. Oczywiście trzeba się zgodzić, że nie jest to tanie, ale dla człowieka z pasją wszystko jest możliwe.

Ten artykuł jest namiastką informacji o fotografii. Nie poruszyłam kilku tematów takich jak zoom cyfrowy i optyczny, czym się różnią, na czym polega budowa lustrzanki i jakie są rodzaje obiektywów, akcesoriów itd. Jest tego bardzo dużo. Dla wszystkich, którzy chcą się dowiedzieć więcej o fotografii, pozostaje Internet (np. www.fotoporadnik.pl) oraz czasopisma (Foto).

Będzie różowo. Tak? Powiedz, że tak. Samotni (!?) w naszej szkole

Artykuł autorstwa Michała Markiewicza

Pachnie i śmierdzi. Odbiera, obdziera, daje coś w zamian. Jest cwana. Samotność. Swoją drogą, opis pasowałby również do miłości, a przecież do samotności jej daleko. Jak to ze skrajnościami zresztą bywa, łączy je niemal tyle, co dzieli. Obydwie przeludnione. Napompowane. Często sztuczne. Próba opisanego, dyskusowania o nich jest o tyle niebezpieczna, że lekko obawiam się popadnięcia w przesadę. Wąski grunt. Samotność to raczej zimna paleta barw. Nic dziwnego, nikt nie chce być sam – ja takich osób nie znam – a to, że chceć nie znaczy móc, to inny problem. W każdym razie, może samotność nie jest AŻ taka mroczna? Umieć być (i żyć) samemu, to znaczy stać się kimś emocjonalnie niezależnym. Trochę jak robot, ale tylko trochę. Na miarę możliwości kontrolować (nie sterować) swoje emocje i rozumieć siebie.

Plusy i minusy

Czy samotność istnieje?

– Skoro ktoś wymyślił ten termin, to znaczy, że istnieje – mówi Kacper. – Oczywiście ma ona swoje plusy i minusy. Nic odkrywczego nie powiem, minus do bólu przewidywalny to taki, że po prostu nie ma się z kim porozmawiać, tak szczerze. Albo zwyczajnie pobyć. Minusem może być też na przykład brak „znajomości”,

które mogłyby się kiedyś przydać, to takie trochę naciągane i pewnie odbiegam od tematu, ale też ważne. Jesteśmy zdani na siebie i takie tam. Z drugiej strony mamy ciszę i spokój. Nie musimy się martwić o nasze relacje z bliskimi, bo ich nie ma. Jesteśmy mniej podatni na wpływ otoczenia i łatwiej jest pozostać sobą. Będąc samotnym, czujemy pustkę, którą powinniśmy wypełniać przyjaźnią, miłością, czy w ogóle bliskie kontakty z innymi ludźmi. Stajemy się aspołeczni, nieakceptowani przez innych. Przez to coraz trudniej z tej samotności wyjść.

– Nie ma ani plusów, ani minusów. Samotność nie istnieje i jest jedynie wytworem naszej wyobraźni. Dlaczego jedni ludzie są samotni a inni nie? Bo jedni w to wierzą, a inni nie. To wygodna wymówka i usprawiedliwienie swoich życiowych porażek na różnych dziedzinach i szczeblach – twierdzi Piotrek.

– Dopóki mam wokół siebie ludzi, którym ufam i którym na mnie zależy, czuję jakąś stabilizację w życiu, mogę zwrócić się z problemem czy z czymkolwiek. Co daje samotność? Nikt cię nie zrani. Nie masz nikogo, do nikogo się nie przywiązujesz, więc nie może cię spotkać nic złego ze strony innych ludzi. Ale czasami warto oberwać, to życie. Jeśli chcemy dokładniej poznać świat i

ludzi, nie możemy się przed nimi chować. Samotny człowiek może spędzać czas na wiele produktywnych sposobów, rozwijać się, ale nie ma sensu się oszukiwać – inni ludzie są potrzebni, więc nie nazwałabym skrajnej samotności czymś pozytywnym. To taka nasza dziura życiowa, uciekają nam przez nią wspomnienia i wydarzenia, których moglibyśmy doświadczyć i w których wziąć udział – Julia.

Myślnie, umyślnie, bezmyślnie?

Żyć rozsądkiem, z rozsądkiem czy skupić się na emocjach? Samotność zmusza do myślenia? Jeśli tak, to czy od (nadmiernego) myślenia się głupieje? Po co filozofować, lepiej żyć bezmyślnie? Wygodniej. W nieświadomości swojego (o/za)błądzenia.

– A ja nie potrafię się z tym do końca zgodzić. Tak samo jak do myślenia, samotność może prowadzić do uczuciowego odrętwienia. Człowiek jest sam, uczy się radzić samemu ze światem, z tym, co go martwi. Ale, kurczę, taki człowiek nie ma dla kogo się starać, nie ma nikogo, kto by go motywował do działania. Taka motywacja wbrew pozorom jest potrzebna. Człowiek odizolowany z czasem zapomina, jak to jest doświadczać różnych rzeczy typowych w relacjach międzyludzkich – Julia.

– Wszystko z umiarem. Wia-

domo, że w życiu trzeba myśleć. Bezmyślność może doprowadzić do naprawdę głupich sytuacji, można się wpakować w niezły bajzel z prostego powodu, jakim jest „nie pomyślałem, że tak to wyjdzie”. Poza tym analizowanie zachowań partnera czy przyjaciół, takie przesadne, jest bez sensu, bo człowiek tylko sam się nakręca i wymyśla sobie jakieś chore problemy, zamiast cieszyć się

chwilą obecną. Jak dla mnie, ważna jest umiejętność wyciągania wniosków z każdej sytuacji, ale nie analizuję i nie walcuję tego samego tematu bez końca – Daniel.

– Myślenie się opłaca. Daje wszystko, rozwią-

zywanie problemów. Życie z dnia na dzień w myśleniu nie przeszkadza, carpe diem, ale każdy z tych dni daje nowy bodziec do myślenia. Mnie myślenie z reguły nie boli. – Ola.

Smak

Wszystkiego trzeba w życiu spróbować, w stosunku do samotności może to brzmieć o tyle nieprzystojnie brawurowo, co stety niestety prawdziwie. O samotność każdy się otarł. Każdego popchnęło to do myślenia, czego wynikiem były różne i różniaste spostrzeżenia na temat ludzi, życia, otocze-

nia.

Jak lepiej tego świata doświadczać?

– Poznawanie go jest pełniejsze, gdy się ma bliskich. Mimo że samotność ma w sobie coś pouczającego, to świat składa się z ludzi, a bez kontaktu z nimi, nie będziemy w stanie ich poznać. Świat to odczucia, a nie wszystkich możemy doznać w samotności. Zresztą, nie ma jednej i sprawdzonej recepty na

może dobra, może zła, może pomiędzy. Jest paskudna – Daniel.

– Na dłuższą mętę nigdy nie byłam sama. Mam jednego wypróbowanego przyjaciela, chociaż tak naprawdę to gdzieś siedzi w człowieku świadomość wyalienowania. To jest taka samotność z przymusu, z definicji człowieczeństwa – Ola.



Samotność może być korzystna albo raczej dobrze mogą ją znieść ci, którzy dobrze znają siebie. Samotność z wyboru to ucieczka przed trudem życia z ludźmi. W swoim świecie

poznanie świata. Myślę, że ważne jest poznawanie ludzi, dążenie do przyjaźni i miłości, a reszta sama się potoczy. Nic więcej do łba mi nie przychodzi – Marek.

– Jest okropnie nudna, King fajnie to sformułował: „Chyba właśnie po tym można poznać naprawdę samotnych ludzi... Zawsze wiedzą, co robić w deszczowe dni. Zawsze można do nich zadzwonić. Zawsze są w domu. Pieprzone zawsze...” i tego już nawet nie trzeba komentować. Nie ma sensu się rozczulać, że jest taka i taka,

mamy dużo wolnego czasu. Można pogdybać, śnić, marzyć. To ulotne. Nasz własny świat różni się od tego publicznego i im szybciej poznamy panujące w nim zasady, prawa dżungli i tak dalej, tym lepiej i mniej boleśniej dla nas.

Mia w „Pulp fiction”: „Po tym można poznać kogoś wyjątkowego. Kiedy można zamknąć ryj i pozielić się ciszą.”

Bolesna samotność Nosferatu

Artykuł autorstwa Adama Magnuszewskiego

Samotność jest swego rodzaju plagą współczesnego społeczeństwa. Można porównać ją do zwyczajnej choroby, która towarzyszy każdemu człowiekowi. Chyba nie pomyłę się, jeśli powiem, że każdy z nas, w większym lub mniejszym stopniu, musiał mieć z nią kiedyś styczność. Cierpieli – bo jeśli traktujemy ją w kategoriach chorób, to takie określenie wydaje się dość trafne – na nią zarówno królowie, władcy imperiów, jak i zwykli biedacy. Podobnie jak śmierć, swoje ofiary wybiera ze wszystkich warstw społecznych, nie istnieją dla niej ustanowione przez ludzi podziały. Powszechnie uznaje się, że pod pojęciem świadomości kryje się stan emocjonalny, który wynika ze złych relacji z innymi ludźmi lub z ich kompletnym brakiem. Na podstawie filmu Wernera Herzoga pt. *Nosferatu wampir* (*Nosferatu: Phantom der Nacht*) chciałbym przybliżyć sam wątek albo w zasadzie zaistniały problem, który podejmowany jest nieustannie w kulturze/sztuce.

Niemcy, Wismar. Jonathan Harker (Bruno Ganz) jest przedstawicielem handlowym pracującym w firmie zajmującej się handlem nieruchomości. Pewnego dnia zostaje wysłany do Transylwanii, ponieważ umowę z firmą chce zawrzeć niejaki hrabia Dracula (Klaus Kinski). Harker wyru-

sza w podróż mimo usilnych prośb jego żony Lucy. W trakcie trwania wyprawy (z Wismaru do Transylwanii jechał 4 tygodnie) – już na terenie obecnej Rumunii – zatrzymuje się w tamtejszej wiosce. Gdy wyjawia Cyganom cel podróży, ludzi ogarnia przerażenie. Doradzają mu, by mimo wszystko jej nie kontynuował. Jednak młody handlowiec, nieczuły na rady tamtejszej ludności – przedstawiciel zachodniej Europy, racjonalista, skonfrontowany z ludowymi tradycjami, wierzeniami Europy (południowo-wschodniej) – ponawia podróż i dociera na zamek hrabiego. Dokonał jednak tego sam, ponieważ żaden woźnica nie odważył się na dostarczenie go do tego mrocznego rejonu Transylwanii. Od pierwszych minut postać hrabiego wydaje mu się podejrzana. Z czasem jednak upewnia się, że ludowe tradycje są prawdziwe, a postać Draculi to nic innego jak człowiek spłodzony z nasienia Beliara – wampir. Już pierwszej nocy kąsa on Harkera. Jednak Nosferatu w głębi duszy – jeżeli można powiedzieć, że osobnik jego pokroju takową posiada – próbuje walczyć ze swoją naturą, próbuje się opamiętać. Nie przynosi to niestety skutku. Jonathan Harker z czasem przemieni się w wampira, podzieli los Draculi i również będzie się zmagał z samotnością. Hrabia natomiast dokonuje „inwazji” na Wi-

smar. Wypływa statkiem pełnym trumien, które służą mu za miejsce noclegowe i dociera do celu podróży. Dodatkowo przy pomocy szczurów rozsiewa zarazę, dżumę. Miasto upada, a wampir dokonuje dzieła zniszczenia. Jednak żona Jonathana, poświęcając własne życie, przetrzymuje potwora. Pierwsze promienie Słońca zabiły potomka wampira.

Jak wspomniałem, chodzi tutaj o wątek samotności. Wbrew pozorom Herzog, gdy reżyserował *Nosferatu*, na pierwszy plan nie wysunął wątku grozy samej w sobie. Wiadomo – postać wampira, dodatkowo tak przesławnego, genialna wręcz kreacja Klausa Kinskiego i muzyka między innymi Richarda Wagnera osiągają zamierzony efekt – budzą strach. Jednak... jednak w monologu, który wygłasza wampir po przyjeździe Harkera jest coś przejmującego. Oповіда mu swoją historię. Jego przeznaczeniem jest bycie nieśmiertelnym, przez co nie może zaznać śmierci, miłości, rodzinnego ciepła. Tego właśnie brakuje mu najbardziej. Mimo że jest potworem i sam tego nie kryje, zabija ludzi, to został przez los potraktowany okrutnie. Herzog faktycznie wyreżyserował horror, ale jednak – takie jest przynajmniej moje skromne zdanie – większym problemem jest cierpienie jed-

nostki. Nie ma on naturalnych towarzyszy. Jego jedynymi „przyjaciółmi” są szczury i szaleńcy, których sam sobie stwarza. Jest niewolnikiem nocy. Z jednej strony chce umrzeć, ale nie może przemóc, wygrać z własną naturą.

Może wydawać się to śmieszne, ale Herzog stworzył

horror, który skłania do refleksji – bardzo głębokich rozważań nad sensem cierpienia i egzystencji istot ludzkich. Mówi o samotności, braku miłości i zrozumienia. Pokazuje stosunek głównego bohatera wobec samego siebie. Żyje kilkaset lat i nie zaznał jakiegokolwiek uczucia poza strachem i obrzydzeniem wobec siebie.

Problem samotności bar-

dzo ciekawie określił Luc de Clapiers de Vauvenargues i kończąc, posłużyć się sformułowaną przez niego myślą: „Samotność jest dla umysłu tym, czym dieta dla ciała”. Jest swego rodzaju ograniczeniem człowieka, niemożnością pełnej realizacji i własnego zaspokojenia.

Komentarz do rzeczywistości...

Artykuł autorstwa Mateusza Gerasika

...to trochę absurdalne – żyjemy w jednym świecie, ale każdy z nas ma swoją rzeczywistość. To powinno nazywać się raczej komentarzem do mojej, iście Gerasowej rzeczywistości. Ale byłoby to zbyt intymne, takie otwieranie siebie, ukazywanie swoich słabości. Boimy się tego. A może to rozważa? Co byłoby, gdyby świat (ludzie) mógł się swobodnie poruszać w mojej rzeczywistości? – paranoja. Chociaż można to potraktować zupełnie inaczej. Rzeczywistość – pojęcie względne, jak wszystko. No ta... chwilowy przypływ geniuszu już mi się skończył. Normalne. Mój „geniusz” daje tylko i wyłącznie przebliski. Może czeka na właściwy moment, nie wiem. Ale wiem jedno. Potrafię mówić/pisać na temat, wcale tego nie robiąc. A więc rzeczywistość powierzchownie, bez żelaznej rozkminy rodem z KFC. Bo przecież nic na siłę, tak? (pozdro, Dasio :*) Ale zobowiązałem się, więc proszę bardzo. **RZECZYWIŚTOŚĆ**. Jaka jest, większość widzi, bo część nie chce tego widzieć – ale ze względu na ZUO ich prywatnej rzeczywistości.

Nieważne. Za oknami śnieg. Dużo śniegu. Dużo za dużo śniegu. Nastanie śniegowa apokalipsa. Dzień staje się dłuższy, ja osobiście kontynuuję wywoływanie wiosny, które może potrwać jeszcze jakieś półtora miesiąca, ale dam radę, twardy jestem. Czasem. Poza śniegiem... kończą się ferie, ale co to ma za znaczenie, jak będziesz to czytać już sporo po ich zakończeniu? Taka rzeczywistość – zmienna, może trochę kapryśna. Niczym

moje geniuszo-natchnienie. Tym razem podział film, który, z tego co wiem, jest również odtwarzany na wydziale psychologii na uniwersytecie w Gdańsku, ale z powodu mojej ignorancji nie jestem w stanie powiedzieć, co to za uniwersytet. Film nazywa się „K-Pax”. Serdecznie polecam. PS Tak, Krystian, to pseudo-inteligentki bełkot.



Płeć słaba – czy rzeczywiście słaba?

Artykuł autorstwa Damiana Brudzyńskiego

Płeć piękna. Co by bez niej było? Co byśmy my, mężczyźni, bez niej zrobili? Trudno powiedzieć, ale na pewno byśmy odczuwali brak tak istotnej wartości dla każdego człowieka, czyli dopełnienia swojej osobowości i ogólnie rzecz biorąc poznania samego siebie. Niewątpliwie to bardzo schlebia teraz wszystkim dziewczętom, ale z drugiej strony one bez nas – facetów – też nie byłyby dopełnione – piłeczka się odbija. Pomijając jednak te trochę odchodzące na inny temat rozważania, trzeba pamiętać o tym, że bez kobiet świat byłby zagrożony samozagładą, mężczyźni pozostawieni sami sobie popadliby w niekończące się koło awantur i anarchii, zachwiana została by nasza natura, testosteron najprawdopodobniej zacząłby przejmować kontrolę nad męskimi decyzjami, zachowaniami (może pomijając buddyjskich mnichów, bo ci wyrobili sobie niesamowite zdolności samokontroli). Ale na szczęście! na szczęście... nie grozi nam nic z tych rzeczy, bo płci słabej (?) z wiarygodnych i mniej wiarygodnych sondaży jest więcej na świecie niż mężczyzn.

Ogólnie rzecz biorąc te wszystkie dywagacje miały pośrednio potwierdzić, że płeć piękna jest niezbędna do funkcjonowania świata, mężczyzn, urzędów i administracji. Ale teraz pojawia się pytanie – Czemu w ciągu wielu pokoleń synonimem słowa „kobieta” jest również „płeć słaba” – Bo na pewno nie jest ono motywujące. Postanowiłem skupić się trochę nad tym

tematem.

Na lekcjach historii już dowiedzieliśmy się wiele na temat sytuacji kobiet w minionych epokach, roli, jaką odgrywały w społeczeństwie. Dlatego też doskonale wiemy, że władzę w większości domów do prawie XIX w. trzymała płeć mniej urodziwa. Kobiety schodziły na dalszy plan, jako dopełnienie życia mężczyzny, ich zdanie miało znacznie mniejszą siłę przebicia niż zdanie męskie.

Jednak wszystko ma swój koniec i w tym przypadku końcem była emancypacja i ruch sufrażystek. Ale nie o samą historię chodzi. Jak wygląda sytuacja kobiet dzisiaj? Czy są one rzeczywiście słabe? Postanowiłem zapytać kilkoro moich znajomych o ich zdanie na ten temat. Pierwsze na ostrzał poszły dwie niepokorne, które po otrzymaniu instrukcji, że pytań konkretnych nie ma i ich zadaniem jest najzwyczajniej w życiu się wygadać, zaczęły: „Nie. Kobiety mają własne zdanie, są często wyrachowane, zdeterminowane, by osiągnąć swój cel. Uniezależniają się od was! A dodatkowo radzą sobie lepiej z problemami emocjonalnymi niż mężczyźni, którzy potrzebują opieki i rady swojej mamy” – zaczęła ostro Anna Pałac, której ochoczo dotrzymała towarzysztwa Paulina Chyl, mówiąc: „Płeć piękna z czasem staje się silniejsza i hm... Obrazując to – Kobiety są szyją, faceci głowa-

mi. A szyja... kieruje głową”. Ania dodała, że głowa patrzy w stronę, w którą chce szyja. Wcześniej zapytana o zdanie Monika Lutomirska powiedziała: „Kobieta będzie tą słabą płcią, jeżeli sama w to uwierzy, nic więcej”.

Dziewczyny stanęły za sobą murem, broniąc swoich racji. Ale żeby dodać trochę pikanterii, zapytałem kilku samców, którzy byli świadkami moich rozmów z dziewczynami, co o tym sądzą. „Nasze przedmówczynie opierały się na sloganach, które nie mają szczególnego przełożenia na rzeczywistość” – zaczął lekko Adam Magnuszewski aka „Magnum”. Za nim od razu zripostował Krzysztof Konstantinow: „Szyja kręci się w stronę, w którą chce głowa, w końcu to ona ma mózg.” „A szyja to tylko zlepek tkanek” – zawtórował mu Krystian Grzelak.

Także to były po krótku zaprezentowane wypowiedzi naszych kolegów, koleżanek. Jak widać, każda płeć reprezentowała zgoła odmienne zdanie, próbując bronić swoich racji. Jestem przekonany, że jeśli poprosiłbym ich o wypowiedzi na jednym polu dyskusyjnym, wywiązałyby się niemała zadyma (werbalna oczywiście). Obserwując jednak



nych zmian klimatycznych albo wyrobiły sobie w krótkim czasie zmiennocieplność – da się zauważyć ten fakt, gdy na mieście można spotkać dziewczęta w krótkich spódniczkach bez rajstop, a to wszystko w temperaturze ponad -10°C (jednak to są tylko sporadyczne wyjątki, mistrzowsko zahartowane).

Odpowiadając na tytułowe pytanie: „Płeć słaba – czy rzeczywiście słaba”. Obiektywna odpowiedź, pomijająca lekki spór w w/w wywiadzie, wydaje się prosta – Jest silna jak jasna ch****.

dzisiejszą płeć piękną, jej zachowania, dokonania w show-biznesie, stwierdzam, że jest ona równą konkurencją na arenie pracy, a także każdej innej dla mężczyzn. Kobiety stały się silnie psychicznie a dodatkowo przystosowały się do gwałtow-

O miłości (nie tylko) na walentynki

Artykuł autorstwa Anny Marchlewskiej

„Miłość nie jest tylko uczuciem, jak to się niektórym wydaje. Miłość to ciężka praca. Trzeba umieć się dostosować. Trzeba umieć rezygnować. Miłość jest trudna, ale też piękna. Dlatego warta i pracy i trudów” – słowa te, wypowiedziane przez księdza Jana Twardowskiego, doskonale charakteryzują najwspanialsze uczucie, jakim jest miłość. Stykamy się z nim na co dzień, pod różną postacią – rodzicielską, przyjacielską, czy łączącą kiedyś obcych sobie ludzi. Każdy z nas go potrzebuje, bo zgodnie ze słowa-

mi Jana Pawła II „człowiek nie może żyć bez miłości”. Ale czy wiemy, czym tak naprawdę ona jest? Czy w strachu przed samotnością nie mylimy jej z czymś innym?

Miłość to motyw uniwersalny, pojawiający się w każdej epoce. Artyści zafascynowani tym tematem często się do niego odwołują. Wystarczy przywołać tak wspaniałe dzieła jak „Romeo i Julia” Wiliama Szekspira, czy średniowieczny utwór „Dzieje Tristana i Izoldy”. Obrazują one siłę wiecznego uczucia – miłości. Miłości aż

po grób.

Dużą popularnością cieszą się filmy z gatunku komedii romantycznych. Ludzie, pragnąc przeżyć coś tak wspaniałego, chętnie po nie sięgają. Jednak w prawdziwym życiu takie historie się nie zdarzają. Nie zawsze możemy liczyć na happy-end.

W dzisiejszych czasach temat miłości jest wykorzystywany przez niektóre przedsiębiorstwa starające się na nim zarobić. Wystarczy choćby wspomnieć Walentynki – świę-



dy słyszymy o kolejnej tragedii, która kogoś spotkała i kto nie może liczyć na pomoc otoczenia. Ale miłość istnieje. Po prostu nie zawsze wiemy, jak ją okazywać. Nigdy nie powinniśmy zapominać, że „miłość jest to największe i jedyne bogactwo na ziemi”.

to oddające cześć miłości. Coraz bardziej utrwała się przekonanie, że w tym dniu zakochani powinni podarować sobie jakiś prezent. Najczęściej są to kwiaty, bądź inne małe upominki, zdarzają się jednak większe oczekiwania związane z tym świętem. W kinach wyświetlane są filmy o miłości, w różnych miejscach ogłaszane są obniżki dla par, aby przyciągnąć klienta. Wszystko to sprawia, że coraz częściej miłość postrzegana jest jako coś materialnego, jako towar, dzięki któremu można się wzbogacić. Niszczy to wyjątkowość Dnia św. Walentego i jego pierwotne znaczenie. Nie sądzę, aby kilka miłych słów, czy zwykła kartka, wyrażały mniej niż drogi prezent, bo przecież „miłość to nie pluszowy miś ani kwiaty (...) ani film w żadnym kinie”, jak śpiewa zespół Happysad.

Więc czym jest prawdziwa miłość? Uczucie to niezwykle trafnie opisał Dietrich Bonhoeffer słowami: „To wielka

potęga! Przenosi góry, ożywia nieżyjące, umożliwia niemożliwe, a co czarne może być białe”. W miłości bardzo ważne jest zaufanie do drugiej osoby, wiara we wsparcie, którym obdarzy nas w trudnych chwilach. „Kiedy jedno spada w dół/ Drugie ciągnie je ku górze” to słowa z przytoczonej już wcześniej piosenki zespołu Happysad. Według mnie ideał tego uczucia obrazuje „Hymn o miłości” św. Pawła z I Listu do Koryntian. Zawarł w nim wszystkie wartości, które decydują o potędze miłości i tworzą z niej dobre i pożądane uczucie.

Mimo że w dzisiejszych czasach ze wszystkich stron otoczeni jesteśmy miłością, czasem trudno nam jest uwierzyć w szczerść tego uczucia. Nieobca jest sytuacja, kiedy ludzie są ze sobą dla korzyści. Czasem trudno jest uwierzyć także w bezinteresowną miłość do bliźniego, kie-

„Gdy mi Ciebie zabraknie” – czyli jak wpływają na nas rozstania

Artykuł autorstwa Pawła Bałdygi

„Człowiek jest mniej nieszczęśliwy, gdy nie jest nieszczęśliwy sam” – tym cytatem Honore’a de Balzaca, francuskiego powieściopisarza, pozwolę sobie rozpocząć moje krótkie rozważania na temat rozstania.

Jak wiadomo nie od dziś, mężczyźni nie jest bardzo trudno zrozumieć kobiety i nierzadko na odwrót, choć nie jest to niemożliwe. Potrzeba na to czasu. Czasami z powodu niezrozumienia właśnie lub nagłych zmian dochodzi do rozstania. Niestety, większość rozstań w naszym życiu jest niespodziewanych. Chłopak zrywa z dziewczyną, umiera ktoś bliski, musimy się wyprowadzić, bo np. rodzice mają pracę na drugim końcu Polski, dorastamy i musimy opuścić pewną grupę osób, zmieniamy szkoły, klasy, idziemy na studia. Wszystko to są przykłady rozstań. Od najważniejszych, do tych (zważywszy na obecną technologię komunikacji) wręcz błahych.

Myślę, że nie ma możliwości przygotować się na rozstanie. Owszem, zazwyczaj widzimy, że coś się zmienia. Przed rozwodem w małżeństwie się nie układa, codziennie są kłótnie. Człowiek przed śmiercią zazwyczaj słabnie, choruje, leży w szpitalu. Wiemy, że rodzice szukają nowego domu. Jednak zawsze mamy nadzieję, że wszystko się ułoży. Jak to mówią: nadzieja umiera ostatnia.

Lecz jednocześnie jest ona matką głupich. Mimo miesięcy przygotowań sam fakt i tak jest zaskoczeniem. Człowiek bardzo łatwo i szybko przyzwyczaja się do środowiska. Nawet w obliczu zbliżających się zmian nasz umysł nie chce dopuścić do świadomości rzeczywistości.

Mimo wszystko rozstania mają też pewne optymistyczne konsekwencje. Każde miejsce pełne jest wspomnień. Gdy je opuszczamy, przechodzi ono do przeszłości i może być wspominane. „Gdy nie po drodze nam będzie razem iść, uniosę Twój zapach snu, rysunek ust, barwę słów” – śpiewał Bogusław Mec. Nie wspominamy czegoś, co jest lub dopiero co minęło, np. wczorajszego dnia. To są opowieści. Wspomnienia to również opowieści, ale inne. Wspomnienia to opowieści, które nabrały znaczenia na przestrzeni miesięcy lub lat. Wspomina się młode lata swoich dzieci. Wspomina się własne lata młodości. Gdy rozstajesz się z kimś, a po jakimś czasie znów się spotykacie, przywołujecie wspólne wspomnienia, coś, co razem przeżyliście: „W pamięci składam wciąż...”

Rozstania nigdy nie są przyjemne, lecz stanowią nieodłączną część naszego życia. Gdyby nie to, byłoby ono bezbarwne, monotonne i nudne. Nauczmy się je doceniać, gdyż przynoszą nam nowe doświad-

czenia – wartość, której nikt nigdy nam nie zdoła ukraść.

Pokonywanie zakrętów dla początkujących

Artykuł autorstwa Tomasza Antosiewicza

Życie jest drogą. Tak jak życie jest pełne upadków, tak droga jest pełna zakrętów. Niektóre są leniwymi, ciągnącymi się przez niziny łukami, a inne krętymi, góorskimi serpentydami. Dotyczą one ludzi idących niezgodnie z wytyczonym przez społeczeństwo stereotypem, lecz zgodnie z ich własnym ego. Równa się to permanentnemu konfliktowi z ogólnie przyjętymi normami, często odrzuceniu, czy poczuciu alienacji. U artystów zakręty wiążą się z szukaniem innowacji i oryginalności, ale u przeciętnego człowieka są zwykłymi próbami oderwania się od szarego dnia codziennego.

Miłość do muzyki, depresja, narkotyki, seks, alkohol – to pięć elementów życia Milesa Davisa, muzyka genialnego, który sześciokrotnie zmienił bieg rozwoju jazzu. Jego zatrzymanie się na zakręcie oznaczało odrzucenie tego pierwszego elementu – przez cztery lata nie dotknął trąbki. Poruszał się na krawędzi samounicestwienia, blisko stoczenia się. Odrzucił to, co było dla niego najważniejsze, czyli tworzenie muzyki. Jego życie wypełniały tylko cztery elementy: depresja, narkotyki, seks, alkohol. Niemalże

wypadł z zakrętu i sam by na niego nie wrócił. Samotność nie sprzyja zakrętom. Zaopiekowała się nim kobieta. Tylko dzięki wsparciu i odnalezieniu na nowo motywacji Miles dalej zmieniał oblicze jazzu. W przypadku przeciętnego człowieka, takiego jak ja, pokonywanie zakrętu równe jest sprostaniu nie tyle rzeczywistości, ile jej szarzyźnie. Tu jednak powinienem mówić o zakrętach, ponieważ szarość dotyczy przeróżnych sfer życia i na każdej czeka zakręt, oznaczający nic innego jak kryzys pewnych wartości. W obszarze życia zawodowego jest to zmiana pracy, jej utrata, czy szeroko pojęte trudności z nią związane. Światopogląd każdego człowieka jest konfrontowany ciągle z rzeczywistością, co też stanowi zakręt. W obszarze życia osobistego, uczuciowego jest to brak lojalności, trwałości i pewności związku partnerskiego, utrata zaufania, czy po prostu stracenie bliskiej osoby. Oznacza to ciągle pokonywania zakrętów: ostrzejszych lub łagodniejszych. Jedno jest pewne – każdego z nas dotyczą, każdy z nas je przeżywa.

Życie artystów, jako osób znanych, publicznych, jest powszechnie zna-

ne. Dzięki temu o wiele więcej możemy powiedzieć o ich zakrętach, aniżeli o pozostałych ludzi. W przypadku artystów ciągle bycie na zakręcie prowadzi często do samounicestwienia. Wystarczy przytoczyć postacie Jimiego Morrisona, Kurta Cobaina, Marka Hłaski, Elvisa Presleya. Wszyscy żyli na ciągłym zakręcie i wszyscy w końcu przegrali. Z drugiej strony jawi się Miles Davis, który potrafił się podnieść z upadku.

Zakręty dotyczą wszystkich, ale ich przeżywanie zależy od wrażliwości: inną posiadają artyści, inną pozostała część społeczeństwa. Różne też są same zakręty. Jednak o ich pokonaniu decyduje cel, motywacja i wsparcie otoczenia. Ludzie ciągle poszukujący, samotni nie potrafią często pokonać zakrętów – poddają się. Nie sprostują zakrętom, są nad ich (często samotne,) siły. Nikt z nas nie ma obowiązku się wyłamywać, buntować. Możemy pozostać na licznych, ale mało ostrych zakrętach dnia codziennego lub podążyć drogą wielkich buntowników, skazanych na poddanie się.

Wybór jednak należy do nas.

O /bez/sensie życia

Artykuł autorstwa Karola Wędrowskiego

Człowiek rodzi się, rozwija, poznaje najpierw ten mały, bliski świat, potem z każdym dniem staje się mądrzejszy, zastanawia się, zadaje pytania. Pytania małego dziecka są proste: co to?, kto to? Proste są również odpowiedzi. Z czasem pytamy coraz częściej: dlaczego?, po co?, by dojść do najważniejszego pytania: jaki jest sens mojego życia?.

Cele, jakie stawiają sobie ludzie, są tak różne jak różni są oni sami. Niektóre nas dziwią, inne śmieszą a czasami nawet bulwersują. Janina Ochojska, Marek Kotański to zwykli ludzie, których celem życia było/jest pomaganie innym, najbardziej potrzebującym. Tym, którym już nikt nie chciał lub bał się pomagać. Czy ich życie ma (miało) sens? To zbyt oczywiste.

Sportowcy wkładają ogromny wysiłek, by osiągnąć sukces, zdobyć medal. Dzisiaj, gdy możliwości ciała ludzkiego są dokładnie poznane, wiele

rekordów zbliża się do kresu możliwości człowieka, można się zastanawiać – czy to ma sens? Na to pytanie odpowiedzi mogą być różne. Wielu zawodników przez wiele lat czerpie radość z samej rywalizacji, ale bywa i tak, że osiągnięcie pojedynczego sukcesu pozbawia motywacji, chęci do dalszego wysiłku.

Czasy, w których przyszło nam żyć, to nieustanna walka polityków. Władza jest celem ich życia. Aby ją zdobyć, są w stanie zrobić niemal wszystko: kłamać, przekupować, „sprzedać” siebie, wyrzec się przyjaciół, rodziny. Najważniejsza jest dla nich władza. Dopiero gdy ją tracą, widzą pustkę wokół siebie.

A zatem – co jest najważniejsze w życiu? Oczywiście znaleźć jego sens. Ale skąd mamy wiedzieć, że to, co nada je sens naszemu życiu dzisiaj, będzie aktualne za 5, 10 lat? Odpowiedź można znaleźć w krótkim utworze Anthony'ego de Mello „Zadowolony rybak”. Bogaty przemysłowiec nie mógł przejść obojętnie obok palącego fajkę rybaka, który odpoczywał po złowieniu kilku ryb. Przecież mógłby wypłynąć jeszcze raz, złowić więcej, zarobić, kupić lepszą łódź, kupić więcej łodzi i stać się bogatym i – przede wszystkim – cieszyć się z życia.

- A jak myślisz, co ja właśnie w tej chwili robię? – zapytał zadowolony rybak...

Jeśli będziemy umieli wybierać to, co najważniejsze, dokonywać dobrych wyborów pomiędzy „mieć” a „być”, odnajdziemy sens życia.



—Photography by misiek2406.

„Zwiększa się świata majątek, lecz coraz bardziej znika człowiek”

Artykuł autorstwa Adrianny Rzewińskiej

Lubię przyglądać się ludziom. Tak zupełnie anonimowo obserwować ich zachowania, reakcje, kiedy znajdują się w przeróżnych sytuacjach. Wracając do domu po całym dniu w szkole, w drodze do sklepu, wszędzie, gdzie tylko mam styczność z drugim człowiekiem mam możliwość oglądania mini-spektakli: czasami zaskakujących, chwilami nawet moralizujących, czasami to zwyczajne codzienne sytuacje, które zdarzają się każdemu z nas. Niekiedy śmieszą

do łez, niekiedy wprawiają w zakłopotanie, bywają wzruszające, czy też sprawiają, że wstydę się, że jestem człowiekiem... Każde z tych spotkań z ludzkimi problemami i zachowaniami buduje we mnie obraz dzisiejszej rzeczywistości, pozwala kreować swoją osobowość, światopogląd.

I znowu rano siedzę w autobusie, właściwie dopiero teraz naprawdę się budzę za sprawą nieznośnej, krzykliwej baby, która we wszystkich widzi zło i wszystko jej przeszkadza, potem już tylko kilku dżentelmenów w nieskazitelnie czystych dresach, którzy z niesamowitym zaangażowaniem opowiadają o wczorajszej imprezce i o dzisiejszym kacu, kilka dziewczyn

w uroczych białych koczach i dzień mogę uznać za oficjalnie rozpoczęty. Potem,

idąc

do szkoły, widzę ludzi pędzących do pracy – chyba bardziej z przyzwyczajenia i konieczności niż chęci dążą do miejsca, w którym dzień w dzień zarabiają pieniądze. I ta ich monotonia... smutne twarze, może zamyślane, może po prostu zmęczone po poprzednim dniu pracy. Wszystko jest w jak najlepszym porządku, nic nie zmieniło się od poprzedniego dnia.

Dziś słuchałam piosenki, która dla mnie, przynajmniej na początku nie była czymś,

co miało skłonić mnie do głębszych refleksji. Po usłyszeniu tytułu i pierwszych kilku sekund linii melodycznej, byłam pewna, że zaraz usłyszę natłok wulgaryzmów i jedyne, co mi pozostanie po jej wysłuchaniu, to niesmak. Po pięciu minutach słuchania obiecałam sobie, że już nigdy więcej nie będę wystawiała o czymkolwiek lub kimkolwiek opinii na podstawie stereotypów, czy uprzedzeń. Chyba dzięki temu utworowi zaczęłam zwracać uwagę na rzeczy, które do tej pory nie były dla mnie aż takie ważne, nie wydawały mi się na tyle istotne. Owszem, spotykałam się z różnymi sytuacjami, zjawiskami, sama czasami robiłam rzeczy, nad którymi się nie zastanawiałam, ale nigdy nie myślałam nad tym, jakie my, ludzie, dajemy o sobie świadectwo jako grupa, jak wygląda

nasze społeczeństwo widziane z boku? Kiedy kolejnego dnia, tak samo jak tydzień, miesiąc temu wsiadłam do autobusu cały ten obraz zaczyna wyglądać inaczej. Niby wszystko wydaje się z pozoru takie jak co dzień, ale nie potrafię na to spojrzeć w sposób, w jaki robiłam to do tej pory. Patrząc na ludzi młodych, na rozhisteryzowaną kobietę, zaczynam dostrzegać coś jeszcze. Widzę starszego mężczyznę, który wsiada na samym końcu, z wielkim trudem wchodzącego do środka. Nikt mu nie pomaga, sama również nie reaguję. Zaczynam dostrzegać wśród ludzi biegnących o swoich biur brudnego żebraka, który siedzi na dworcu i bez większego powodzenia prosi o jedzenie. Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi, którzy walczyli o wolność, nie żyjemy już w tym kraju, za który ginęli przodkowie, pozwoli stwarzamy sobie rzeczywistość, w której sami się zatracamy w pędzie za sławą, pieniędzmi...

To, co widzę, to nic innego, tylko świat, który stworzył sam człowiek, z myślą, by żyło się w nim jak najlepiej, ale zaczynam się zastanawiać, czy to „polepszanie” rzeczywistości nie poszło w zupełnie odwrotnym kierunku. To, co widzę dziś, to świat, w którym podstawową wartością są pieniądze, bez nich nikt nie może przetrwać. Codzienny wyścig o przetrwanie sprawia, że lu-

dzie zaczynają przynależeć do jednej wielkiej grupy, która dąży jedynie do osiągnięcia jak największych zysków, tracąc po drodze takie wartości jak miłość, radość. Brak im jakichkolwiek pasji.

Musimy walczyć o to, żeby każdy z nas mógł żyć tak, jak sobie to wymarzył, byśmy nie musieli podporządkowywać się schematom. O tym właśnie problemie świetnie mówi film

„Billy Elliot” w reżyserii Stephena Daldry'ego. Opisuje historię młodego chłopca żyjącego

w małej miejscowości, w której każdy mężczyzna z pokolenia na pokolenie pracował

w miejscowej kopalni. Billy, bo tak właśnie ma na imię główny bohater, chce wyrwać się z szarej rzeczywistości i poświęcić w całości swojej wielkiej pasji, jaką jest taniec. Pokonując mnóstwo przeszkód, chłopiec osiąga sukces. Oprócz tego, że robi w życiu to, o czym marzył, dodatkowo pokazuje innym, że warto zmagać się z przeciwnościami i dążyć do celu, spełniać marzenia, nawet gdy są one właściwie nie do zrealizowania. Już dziś wiem, że pomimo wielkiego ryzyka, jakie czeka każdego człowieka wkraczającego w dorosłość, będę walczyła o swoje marzenia i spróbuję być na tyle odważna, by choć w pewnej części sprawić, by się spełniły.

Żeby ustrzec się przed sztampowością, każdy człowiek musi mieć własną osobowość i w tym miejscu nasuwa mi się jedno zasadnicze pyta-

nie, dlaczego ludzie nie potrafią wykreować własnego zdania, poglądów, tylko wzorują się na „idolach”, którzy nie do końca prezentują wartości warte pochwały i poklasku, a jednak spotykające się z aprobatą. Nie mogę znieść widoku ludzi, którzy, wzorując się na danych przykładach, nie dostrzegają nic złego w tym, że ich wygląd, ale przed wszystkim tok myślenia, priorytety i zachowania są identyczne jak setki, czy tysiące innych ludzi. Musimy walczyć o indywidualność. Czym byłby świat, gdyby każdy człowiek wyglądał tak samo, myślał tak samo i chciał tego samego, co inny? Byłoby najzwyczajniej nudno... Dlatego nie dajmy się zwariować i wciągnąć w nurt dążenia do bycia na topie, bądźmy wierni swoim ideałom, choćby to miało nas bardzo różnić od tych, którzy nas otaczają.

Dobrym przykładem takiej postawy jest bohater powieści psychologicznej Williama Whartona „Ptasiek”. Autor pokazuje nam chłopaka, który przestraszony wojną, przerażony zachowaniami ludzkimi, tym, jak potrafią się względem siebie zachowywać, traci się w uwielbieniu dla ptaków. Pragnie być jednym z nich, odkrywa ich piękno, lekkość, zaskakujące umiejętności latania. Historia ta jest dla mnie bardzo znacząca, pokazuje bowiem, jakim potworem potrafi być człowiek, ale również pokazuje, że potrafi być wytrzymały, że potrafi odnaleźć piękno i oderwać się od reszty, która go otacza, a którą uważa za niemoralną. I właśnie dzięki temu żyje we mnie nadzieja na to, że pomimo tego, iż wielu ludzi nie potrafi wyrwać

się z określonych przez cywilizację ram, to istnieją też tacy, którzy zdobywają się na odwagę, by walczyć o swoje zdanie, są indywidualnościami i nie tracą moralnych wartości i zasad.

Czasami kontakt z przyrodą, swego rodzaju separacja od ludzi, może pokazać nam wiele, dać dużo wskazówek, pozwolić się sobie zdystansować do tego co robimy, kim jesteśmy, i odpowiedzieć sobie, czy to, jaką drogą idziemy jest słuszne. Może to już czas, żeby zadać sobie to pytanie?

Żydzi – portret jednego narodu

Artykuł autorstwa Małgorzaty Karasiewicz

Przymierze z Bogiem

Żydzi – naród, w który „zainwestował” sam Bóg, z którym zawarł przymierze będące wyróżnieniem, ale równocześnie brzemieniem i zobowiązaniem. Wszystkie nieszczęścia, jakich doświadczyli Żydzi i jakich doświadczają nadal, wiążą się w tradycji żydowskiej z wybraniem. Wiążą człowieka z Bogiem przenika życie codzienne, dodając Żydom otuchy i sił w zmiennych i bolesnych doświadczeniach, jakie w trakcie dziejów stały się ich udziałem. Żydowskie myślenie o historii jest zde-terminowane przez wyrazisty mesjanizm i boską obietnicę Ziemi Obiecanej.

Tora – Nauka i Prawo

Nauka, kształcenie i wychowanie mają w judaizmie kluczowe znaczenie. Nauka prowadząca do poznania i zrozumienia Pisma Świętego – Tory jest traktowana jako obowiązek, któremu podlega każdy Żyd. Dzieci już od małego uczone są podstaw czytania i pisania, zapoznają się z modlitwami i fragmentami Pisma świętego, które co tydzień w szabas odczytywane są w synagogach. Słowo „Tora” oznaczało pierwotnie naukę, pouczenie albo wskazówkę i ma zasadniczo szersze znaczenie niż

Prawo. Stanowi boski porządek stworzenia świata i dlatego studiowanie Tory obejmuje także rozważanie praw i zależności w istniejącym świecie.

Pogrom narodu

O pierwszym bardzo poważnym cierpieniu Izraelczyków możemy dowiedzieć się z relacji Józefa Flawiusza, który opisuje jak w 70 roku n.e. rzymianie zniszczyli święte miasto Jerozoli-



mę wraz ze znajdującą się w nim Świątynią, ludność miasta została wypędzona. Jedyną pozostałością po owej świątyni jest Mur Zachodni – Ściana Płaczu, która od XVI wieku jest głównym miejscem zgromadzeń i modlitw Żydów, a także oplakiwania zniszczenia Świątyni. W średniowieczu stale dochodziło do fałszywych oskarżeń Żydów. Byli oni wypędzani z miast, często pozwalano im mieszkać jedynie w gorszych, wydzielonych dzielnicach. Uciekano

się do fałszywych oskarżeń o mord rytualny, bezczeszczenie hostii lub o szerzenie zarazy. Każdy powód był dobry, aby podjąć krwawą rozprawę z Żydami. Rozpowszechniano fałszywe wiadomości, że Talmud domaga się zabijania chrześcijan i uważa to za religijny obowiązek Żydów. Pretekstem do pogromów bywało często zaginięcie chrześcijańskiego dziecka. Wrogość i niechęć ludzi do narodu żydowskiego można spotkać po dzień dzisiejszy na całym świecie, jednak kulminacja poglądów antysemitycznych na ogromną skalę przypadła na okres 1933-45, kiedy to w kierowanych przez Adolfa Hitlera nazistowskich Niemczech powstał plan zagłady narodu żydowskiego. Antysemityczne hasła przygotowywały Niemców do współuczestnictwa w dyskryminacji i prześladowaniu Żydów. W roku 1942 rozpoczęła się deportacja Żydów z gett w okupowanych krajach do obozów masowej zagłady. Auschwitz, które było największym niemieckim obozem koncentracyjnym, stało się synonimem nazistowskiej polityki totalnej zagłady, wymierzonej przeciwko Żydom europejskim. „Fabryka śmierci” była bu-

dowana, rozbudowywana i modernizowana jedynie w celu bestialskiego unicestwienia ludzkiego życia. W celowo przypominających łaźnie komorach gazowych mordowano dziennie za pomocą cyklonu B, ok. 6000 osób. W samym obozie zginęło ponad milion osób. Pochodziły one z prawie wszystkich krajów europejskich zajętych przez niemieckie wojska podczas II wojny światowej. Dzisiaj to miejsce przypomina i upamiętnia wszystkie zbrodnie, jakich w XX wieku dokonano na narodzie żydowskim.

Kultura żydowska

Żydzi kojarzą nam się najczęściej z narodem wybranym, Talmudem, Torą, II wojną światową i masową zagładą. Jednak naród żydowski to także kultura. Kultura ściśle powiązana z wiarą, jak również z życiem codziennym. Tradycyjny strój żydowski składa się z czarnego kaftana i futrzanej czapki dziś noszony przeważnie przez Żydów ortodoksyjnych. Przy określonych modlitwach mężczyźni mają na sobie tefilim – skórzane rzemienie modlitewne, do których przymocowane są pudełeczka z tekstami biblijnymi. Nakrycie głowy, nakładane na czas modlitwy ma kształt małej, czarnej czapki zwanej jarmułką lub kipą. Długa broda i pejsy podkreślają wieczny charakter boskich przykazań. Ży-

dowskie reguły odżywiania się stanowią część kultury. Obowiązuje podział na zwierzęta czyste i nieczyste, jak również zakaz spożywania wieprzowiny i krwi, ponieważ krew jest synonimem życia, a wcześniej uważana była za siedzibę duszy. Ważną rolę odgrywa mycie rąk przed posiłkiem oraz pobłogosławienie potraw przez ojca rodziny. Sama modlitwa następuje dopiero po posiłku i jest modlitwą dziękczynną. Muzyka żydowska jest w Polsce bardzo dobrze znana. W żydowskiej muzyce ludowej poza elementami oryginalnymi dają się zauważyć wpływy muzyki narodów, wśród których Żydzi żyli. Muzykę ludową wykonywały kapele klezmerskie. Do popularyzacji ludowej muzyki żydowskiej przyczynił się musical „Skrzypek na dachu”. Znana na całym świecie Hava Nagila po dzień dzisiejszy jest wykonywana przez współczesne zespoły grające muzykę żydowską. Także motyw Hava Nagila był wykorzystywany w wielu utworach np. Rootwater jako protest przeciwko prześladowaniu wyznaniowemu i antysemityzmowi. W Polsce bardzo dobrze znana jest impreza kulturalna, jaką jest Festiwal Kultury Żydowskiej, który od 1988 roku odbywa się co roku w Krakowie i cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Festiwal ma na celu popularyzację

kultury żydowskiej i jest okazją do spotkania się sympatyków tej żydowskiej obyczajowości z całego świata. Polska jest jedynym europejskim krajem, w którym działa nadal Państwowy Teatr Żydowski w Warszawie, w którym wystawiane są sztuki zarówno w języku polskim, jak i jidysz. Teatr kontynuuje długą tradycję żydowskiego teatru jidysz w naszym kraju i po dzień dzisiejszy cieszy się ogromną popularnością. Każdy z nas powinien mieć świadomość, że kultura żydowska jest prawdopodobnie jedną z najbogatszych i najstarszych kultur – wyraża nie tylko to, co żydowskie, ale także uniwersalne wartości.

Naród żydowski pomimo diaspory, Holocaustu i licznych prześladowań, wrogoci innych ocalił własną tożsamość, wiarę i kulturę.

Grzegorz Jarzyna

Artykuł autorstwa Anny Gąsiorowskiej



Grzegorz Horst d'Ibertis, Brokenhorst, Horst Leszczuk, Sylwia Torsh, Das Gemuse, Mikołaj Warianow, H7, + i w końcu Grzegorz Jarzyna. Brzmi jak jakiś enigmatyczny kod? Nie... to tylko pseudonimy twórcze reżysera teatralnego i dyrektora warszawskiego TR.

Uczeń Krystiana Lupy, od 1998 roku dyrektor artystyczny TR Warszawa, a od 2006 także dyrektor naczelny. Na swoim koncie ma 19 wyreżyserowanych tytułów i tyle samo naliczyłam również nagród... oczywiście bardzo prestiżowych. Człowiek, który swoim dorobkiem mógłby obsypać kilku reżyserów, niezwykle płodny artysta, niespokojna dusza poszukująca artystycznego wyrazu. W światku teatralnym ma już miano celebryta i zdążył zasłużyć sobie na to, by uczono się o nim w szkołach (oczywiście teatralnych i tym podobnych) na

równi z Grotowskim, ponieważ na stałe wpisał się swoimi dziełami w historię polskiego teatru współczesnego, mając zaledwie 42 lata.

Z wyczekiwaniem oczekuje się każdej kolejnej premiery już nie tylko w Polsce, bowiem jego twórczość doskonale znana jest w całej Europie. I nie tylko – ze sztuką „2007: Macbeth” odwiedził Nowy Jork i na długo zrewolucjonizował swym spektaklem przestrzeń pod bruklińskim mostem. Często wystawia sztuki w Berlinie i Wiedniu – ojczysta widownia musi czasami czekać na spektakle w kolejce. Jednak bez obaw... Jarzyna jest nie-samowicie płodnym reżyserem, praktycznie co roku rodzi się jego kolejne teatralne dziecko.

Zaczął u boku mistrza Krystiana Lupy (jako asystent), więc wyniósł silne podstawy naznaczone eksperymentalnością. Raczkował w Krakowie, gdzie ukończył studia reżyserskie, lecz jego kariera ściśle łączy się z Warszawą i najbardziej eksperymentalną sceną Polski – byłym Teatrem Rozmaitości – TR Warszawa. I wtedy się zaczęło... Rok 1997 i różne sypnęły się pod nogi trzydziestolatka Grzegorza Jarzyny. Jego *Bzik tropikalny* stał się momentalnie najmodniejszym spektaklem War-

szawy. „To teatralna, wysublimowana wersja *Pulp Fiction*” – krzyczeli rozentuzjzmowani krytycy. Spektakl niejako pokazał, jakimi ścieżkami będzie kierował się młody artysta. Z jednej strony dał mu ogromną sławę, z drugiej Jarzyna przytłoczył się swoim mistrzostwem. Poprzedzka została postawiona bardzo wysoko. Jedni mówili, że biedny, bo tacy, którzy startują z taką pompą, szybko się wypalają, drudzy konserwatywnie krytykowali jego eksperymentalność... ale Jarzyna pokazał wszystkim, na co go stać.

Bum! Na złośliwych krytyków, zacierających lubieżnie ręce, znów spadło dzieło, które pokazało mistrzostwo formy reżysera. Wtedy Brokenhorst (bo pod takim pseudonimem tworzył) pokazał w Teatrze Dramatycznym *Niezidentyfikowane szczątki ludzkie i prawdziwą naturę miłości*. Historia rozkładu podstawowych więzi międzyludzkich, portret wysoko rozwiniętego społeczeństwa konsumpcyjnego, homoseksualizm i trudność w określeniu własnej tożsamości, narkotyki i samobójstwo – tego wszystkiego i nie tylko zresztą, dotyczyła sztuka. Była ponura, tragiczna i komiczna. Jarzyna wprowadza projekcje wideo (później już nieodłączne w jego spek-

takłach), które powtarzają i deformują zdarzenia, a na koniec... Maria Callas. Nie sposób opisać spektaklu, jednak po przeczytaniu recenzji, sztuki, opisów, żałuję, że nie urodziłam się 10 lat wcześniej, by móc to zobaczyć. Grzegorz Jarzyna pragnął swoimi sztukami zaprosić do teatru młodych. Tym też tłumaczy konieczność posługiwania się kodami młodych, wprowadzania technizacji sceny, odmładzania jej i szokowania widzów. Twórca stronił od repertuaru romantyków – to nie kręci tych, do których chce dotrzeć. Następnie sięgnął po Gombrowicza, Fredrę (odświeżył go doskonale i wpasował w aktualne realia), Manna.

Mikołaja Warianowa chyba wszyscy do końca kariery będą mu wypominać. Chodzi o adaptację *Idioty* Dostojewskiego, a mianowicie sztukę *Książę Myszkín*. Jarzyna odkrył słabą stronę swojego warsztatu. Krytycy nie pozostawili na nim suchej nitki. Ukazanie akcji – przyczyna, skutek – огоło-ciło spektakl z tak znamiennej dla Jarzyny metafizyczności, scenicznego rozwibrowania. Jednak reżyser godnie otrząsnął się i pokazał swoją świetność w kolejnym spektaklu, okrzykniętym jednym z jego największych sukcesów – *Uroczystość*. Ukazał głęboki kryzys rodziny i maskaradę ludzką. Odarł widzów z intymności – po raz

kolejny wstrząsnął. Kolejnie warto wspomnieć o sztuce *Bash*, która długa odgrywana była w dawnej siedzibie „Życia Warszawy”. Opuszczona hala dzieliła widownię na trzy grupy w oddzielnych salach – kilkudziesięcioosobową, stanowiącą widownię reality show, kilkunastoosobową – grupę terapeutyczną i jednoosobową – psychoanalityk? Aktorzy przemieszczali się po pomieszczeniach i odgrywali kolejne sekwencje dla różnej widowni w tym samym czasie. Jakże chciałabym się znaleźć w tej jednoosobowej sali...

2007: *Macbeth* zagościł w Nowym Jorku i dorobił się ekranizacji. Szekspir został przemielony przez maszynkę Jarzyny i dostosowany pod realia wojny w Iraku i Czeczeni. W ogromnej hali odbył się już nie spektakl, lecz widowisko na kilku kondygnacjach, z wszelkimi efektami specjalnymi. To wszystko przypominało już bardziej kino akcji niż teatr. Jedni się zachwycali, inni krytykowali za wypaczoną eksperymentalność.

Gdy wszyscy szykowali się, czym nowym Jarzyna zaskoczy i sprowokuje, reżyser uspokoił się, zerwał z pseudonimami. Pokazał coś odcinającego się o poprzednich superprodukcji na miarę konsumpcyjnego świata – *T.E.O.R.E.M.A.T.* Powrócił do stylistyki z *Uroczystości* i

ukazał współczesną rodzinę, niekochającą się, lecz przyzwyczajoną do siebie. Jarzyna porzucił epatowanie brutalizmem, a zbliżenie seksualne pokazał w zabawnej formie baletowej. Krytycy znów rozanieleni...

A teraz... Jeśli kogoś Jarzyna zainteresował i jeśli ktoś lubi oglądać na scenie wielkie gwiazdy w innej wersji niż „Nigdy w życiu” itd. , to niech wybierze się na *Między nami dobrze jest*. Tu z kolei podobno (nie widziałam, więc PODOBNO) można się uśmieć.

Hanna Krall – sylwetka

Artykuł autorstwa Ilony Kamińskiej

„Pan Bóg już chce zgaścić świeczkę, a ja muszę szybko osłonić płomień, wykorzystując Jego chwilową nieuwagę. Niech się pali choć trochę dłużej, niż On by sobie życzył – Hanna Krall w swoim zawodzie.

Hanna Krall jest niewątpliwie najbardziej znaną polską reportażystką piszącą przede wszystkim o losach Żydów prześladowanych w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu. Opowiada jednak nie tylko o Żydach, ale przede wszystkim o nas samych, o tym, co tkwi w nas najgłębiej. Holocaust wystawił przecież na ogromną próbę nie tylko współczesną cywilizację, kulturę, lecz przede wszystkim – człowieka. I tego egzaminu nie udało się zdać. Autorka wierzy jednak, że historia już się nie powtórzy, że przełamiemy tragiczną cykliczność.

Główne książki napisane przez Hannę Krall to m.in. „Zdażyć przed Panem Bogiem”, „Taniec na cudzym weselu” czy „Tam już nie ma żadnej rzeki”. Stanowią one zbiór pojedynczych reportaży mówiących o jednostkowych losach ludzi dotkniętych tragedią. Hanna Krall – z pochodzenia Żydówka – najczęściej dotyczy historii swojego narodu, dostrzegając jego szczególnie ciężką sytuację. Autorka jednak nie pozostaje obojętna wobec Polaków, którzy również

stawali przed dramatycznymi wyborami – pomóc Żydom, ryzykując życie swojej rodziny? Pozostać wobec nich obojętnymi? Za reportażowym charakterem jej utworów przemawiają takie czynniki jak: zwięzłość i szczegółowość, dokumentalność faktów, precyzja i dążenie do ich ustalenia, ograniczanie komentarza odautorskiego oraz docieranie do osób autentycznych.

Postaram się przywołać kilka pojedynczych historii tej pisarki. Jedna ze smutniejszych dotyczy reportażu „Ta z Hamburga” z książki „Taniec na cudzym weselu”. Kochające się małżeństwo podczas okupacji zaopiekowało się Żydówką, jednak pomiędzy nią a panem domu rozwinął się romans, z którego rodzi się dziecko. Helusia po kilkunastu latach odnajduje biologiczną matkę Żydówkę (ta wcześniej uciekła bez słowa). Matka nie chce się z nią widywać, kosztować, o którym córka jej przypomina, nie pozwala na te spotkania, nie pozwala na miłość. Co więc czuje młoda kobieta w takim momencie? Co z jej tożsamością? Kogo ma uznać za prawdziwych rodziców – polskie małżeństwo czy „tę z Hamburga”? Podobnymi pytaniami kończy się rozdział:

„- To czyja ty właściwie jesteś? I kim jesteś? – spytał ją syn.

- Jestem twoją matką – powiedziała. Chociaż dla puenty powinna powiedzieć: Je-

stem tą, która przeżyła”. Dzięki Hannie Krall na podstawie kilkunastostronicowego opowiadania widzimy ogromną ilość trudnych do rozwiązania konfliktów. Konflikty dotyczące zagłady narodu żydowskiego, konflikty narodu polskiego, który również musiał w tej sytuacji przyjąć określone stanowisko, konflikty rodzinne na tle rodzic – dziecko, mąż – żona i konflikty tożsamościowe – przynależności do określonej zbiorowości.

W jej zbiorach reportaży istotną rolę odgrywa nawet zwykła rzecz – stara fotografia, kwitek rachunkowy czy lalka. Kolejny rozdział „Spis rzeczy” z tomu „Tam już nie ma żadnej rzeki” opowiada o niektórych z tych pozornie mało znaczących przedmiotów. Urzekająca jest historia kobiety, która w getcie dostała od ojca lalkę. Lalkę może i niezbyt ładną, lalkę z trocin i gliny z niezgrabnie wystającym drutem o aryjskich barwach – a jednak niosącą ze sobą olbrzymi ładunek emocjonalny. To lalka zrobiona własnoręcznie przez ojca, który pragnął przekazać córce siłę i moc. Siłę w czasie, kiedy każdy Żyd czuł się niebezpiecznie tylko ze względu na odmienność swojej rasy. Lalka ta była prezentem, była przyjacielem w czasach, kiedy dzieci nie potrafiły, tak jak my, cieszyć się dzieciństwem, bo nie miały takiej możliwości, była (jak się potem okazuje) czymś, co ją

chroniło – tym, z czym przeżywała wszystkie choroby i chwile szczęśliwe. Amuletem, który – jak wierzyła – ocalił ją z Holocaustu i pozwolił się odnaleźć w rzeczywistości powojennej.

Ojciec nadał lalce niejako czarodziejskich właściwości, mówiąc do Marii: „Będzie się tobą opiekowała. Nie zgub” Córce udało się przedostać na aryjską stronę, przeżyć wojnę, założyć rodzinę. Nigdy nie rozstawała się z prezentem od ojca, ale zainteresowali się nim izraelscy historycy i starzejąca się kobieta postanowiła oddać pamiątkę do muzeum. Bohaterka po oddaniu laleczki zaczyna chorować i umiera. Fragment kończy się słowami: „Wieko przybili za wcześnie. Córka musiała je podważyć i naruszyć listwę. Fotografję laleczki wsunęła w szczelinę trumny, na wysokości rąk.” Niby drobiazg,

opowieść o przedmiocie – czy sta faktografia. A przecież Krall, co świadczy już o literackości, potrafi za pomocą opisu przedmiotu przekazać niezwykle intensywne emocje, nadać opowiadanej historii wymowę symboliczną, uniwersalną, wywołać w czytelniku silne uczucia.

Hanna Krall zmaga się z własną biografią. Zmaga z własną przeszłością, naznaczoną przez strach, cierpienie i śmierć bliskich. To właśnie dlatego w jej twórczości tak często powraca pytanie o tożsamość. Sama wyjaśnia ten problem słowami: „Teraźniejszość zderzyła się ze wspomnieniami i pojawiło się nieuchronne pytanie: kim właściwie się jest i kim powinno się być, jeśli nie chce się wyrzec części samego siebie?”. Tożsamość – to, czego szuka każdy z nas. Obejmuje nasz sposób postrzegania samych siebie, nasz system wartości, nasz sposób myślenia. Jednak w czasie wojny być sobą oznaczało być Żydem, kimś – według nazistowskiej teorii – gorszym, dlatego tożsamość zastąpił kamuflaż. I bardzo ciężko było wrócić „do siebie” po okupacji – nadal człowiekiem rządził strach.

Myślę, że tacy twórcy są nam bardzo potrzebni. Należy ukazywać popełnione błędy tak, aby wystrzegać się ich w przyszłości. Szczególnie młodzi ludzie nie mają zbyt wielu autorytetów i dlatego potrzebne są

osoby, które potrafią ich czymś mądrym zaciekać. A cel tego pisarstwa? Najlepiej definiują go słowa: „To pisarstwo obrócone w przyszłość, skierowane do młodych pokoleń, wyraża nadzieję”. W tym tkwi jego siła.



Paulo Coelho

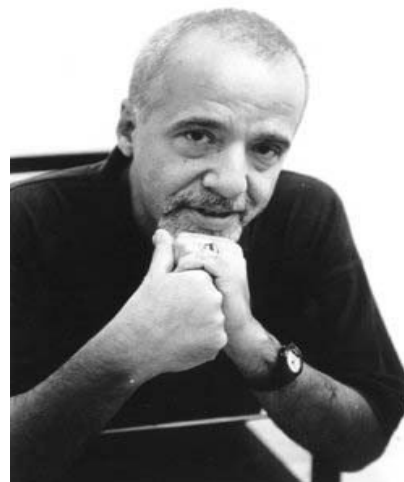
Artykuł autorstwa Jowity Jędras

Paulo Coelho jest obecnie jednym z najbardziej znanych pisarzy współczesnych, a jego twórczość tłumaczona w ponad 150 krajach stała się niewątpliwie fenomenem kultury masowej.

Pisarz urodził się 24 sierpnia 1947 roku w Rio de Janeiro. Wychowywał się w niezamożnej rodzinie katolickiej i był uczniem jezuickiej szkoły. Większość swojego życia poświęcił na poszukiwaniu własnej drogi duchowej, zgłębiając tajemnice różnych wyznań, sekt i innych tajemniczych ugrupowań. Zanim stał się autorem bestsellerowych powieści, studiował prawo, które jednak porzucił na rzecz podróży. Był także pomysłodawcą sztuk teatralnych, dyrektorem teatru, hippisem oraz autorem tekstów piosenek dla największych gwiazd brazylijskiej muzyki rozrywkowej. Później został dyrektorem artystycznym wytwórni płytowych Polygram. Tutaj też poznał swoją żonę, z którą wyjechał do Londynu, gdzie kupił maszynę do pisania i zaczął stawiać pierwsze kroki jako pisarz. Początkowo nie odnosił sukcesów. Wócił do Brazylii, gdzie podjął pracę jako menadżer w innej wytwórni płytowej – CBS. Pracował tam przez trzy miesiące, po czym rozstał się z żoną i porzucił pracę. W 1979 roku

Paulo spotkał swoją przyjaciółkę Christinę Oiticicę, która do dziś jest jego towarzyszką życia. Oboje ruszyli w podróż po Europie. W Niemczech, w obozie koncentracyjnym w Dachau, Coelho miał widzenie, w którym ujrzał człowieka nakłaniającego go do ponownego zgłębiania wiary katolickiej. Pisarz odbył więc w tym celu pielgrzymkę do Santiago de Compostela, która zaowocowała powstaniem powieści „Pielgrzym” wydanej przez małe brazylijskie wydawnictwo. A już rok później ukazał się „Alchemik”. Mimo że powieść nie cieszyła się zbyt dużym zainteresowaniem, Coelho nie zrezygnował z wyznaczonego sobie celu i wkrótce znalazł większe wydawnictwo Rocco, które zainteresowało się jego twórczością, nadając jej rozgłos. Pisarz otrzymał już wiele znaczących nagród i wciąż spotyka się z ze swoimi czytelnikami na całym świecie, dzieląc się swoimi przeżyciami. Polskę odwiedził już sześciokrotnie, a ostatnia wizyta miała miejsce w 2005 roku – w Częstochowie podpisywał powieść „Zahir”.

Paulo Coelho to postać bardzo kontrowersyjna. Szczególny dystans do jego twórczości wyraża przede wszystkim kościół katolicki,



który ostro sprzeciwia się zawartym tam poglądom i praktykom religijnym. Duchowni poddają w wątpliwość wiarę pisarza oraz jego dobre zamiary, mocno podkreślając jego wcześniejszy tryb życia, liczne cytaty, a także sposób myślenia niezgodny z wiarą katolicką. Nie zmienia to jednak faktu, że to najbardziej popularny pisarz także wśród katolików. Należało by sobie jednak zadać pytanie: Co w jego twórczości przyczynia się do tak wielkiego zainteresowania? Czy rzeczywiście jest to prawda o świecie i przydatne wskazówki, uniwersalne i warte poznania przez każdego człowieka czy tylko zwykłe komercyjne banały, w które człowiek chce wierzyć, bez względu na to, czy są one odzwierciedleniem naszej codzienności?

Kryzys także w muzyce? (cz. II)

Artykuł autorstwa Kamila Zientarskiego

W tym numerze druga część muzycznego podsumowania 2009 roku, czyli moje mini-recenzje 5 doskonałych albumów, których premiera miała miejsce w minionym roku. Życzę miłej lektury. Mam nadzieję, że każdy z Was znajdzie coś dla siebie

Kult – Hurra!

Godną pozazdroszczenia formę trzyma charyzmatyczny lider Kultu, Kazik Staszewski. Po dość ciężkim dla niego okresie (artysta cierpiał na depresję), nareszcie przyszedł lepsze czasy, co zresztą wiadać, to znaczy słysząc na najnowszym krążku jego zespołu. Tytuł płyty nieprzypadkowy, czuje się na niej entuzjizm i wielką energię, może z powodu napływu do zespołu świeżej krwi – w marcu 2008 r. zespół opuścił Krzysztof "Banan" Banasik, a skład został uzupełniony przez Wojciecha Jabłońskiego (gitara) i Jarosława Ważnego (puzon). Także Kult liczy teraz aż 9 osób, w brzmieniu wzbogaconym przez puzon to właśnie instrumenty dęte wysuwają się na pierwszy plan. A repertuar na płycie różnorodny – od świetnej i pełnej werwy *Amnezji*, przez humorystyczny i dynamiczny singiel z doskonałą sekcją dętą, *Mary się*, nowofalowe, ciekawe wokalnie *Nie Mamy Szans*, po

monumentalną i przypominającą dawne dokonania zespołu *Karingę* (tylko, o zgrozo, to „szłem” w tekście!). Do przeszłości Kultu nawiązuje także punkowe *My Chcemy Trzymać W Garści Świat*, wysoką formę tekściarską Kazik pokazał w *Maria Ma Syna i Amnezji*, szkoda tylko, że *Idiota Stąd* ma niezwykle irytujący tekst.

Ogólnie nowy Kult jawi się jako doskonale naoliwiona muzyczna maszyna, czasem pełna mocy, energii i humoru, a kiedy trzeba, zwalnająca i mówiąca z refleksją o rzeczach ważnych.

Kiss – Sonic Boom

Niesamowicie, w jak wielkim stylu powraca legenda hard rocka, zespół Kiss. Musiało minąć 11 lat od wydania ostatniego studyjnego albumu (*Psycho Circus* z 1998 r.), aby amerykański kwartet ponownie odważył się zawitać w studio. Panowie nagrali materiał naprawdę doskonały, klasycznie „kissowy” – a więc bardzo przebojowy, rock’n’rollowy, o energii przeczącej średniej wieku artystów, która wynosi w tym momencie... 55 lat! Na tym krążku absolutnie tego nie czuć (no chyba, że chodzi o doświadczenie w pisaniu wielkich hiciorów), weźmy na przykład czadowe *Modern*

Day Delilah, *Hot and Cold*, czy gwarantowane koncertowe wymiatacze jak *Say Yeah*, lub *All for the Glory*. Utworom nie brakuje pazura, zespół często raczy nas kąśliwymi, mocnymi riffami, tak jak w *Russian Roulette* i *I'm An Animal*. Wyjątkowe w tym albumie jest to, że brzmi on niemal jak płyta live, po prostu czuć atmosferę koncertu i entuzjizm muzyków, który bez wątpienia udziela się również słuchaczom. Do tego dochodzą kapitalne solówki, mega chwytliwe refreny, słowem – wszystko, co najlepsze w Kiss.

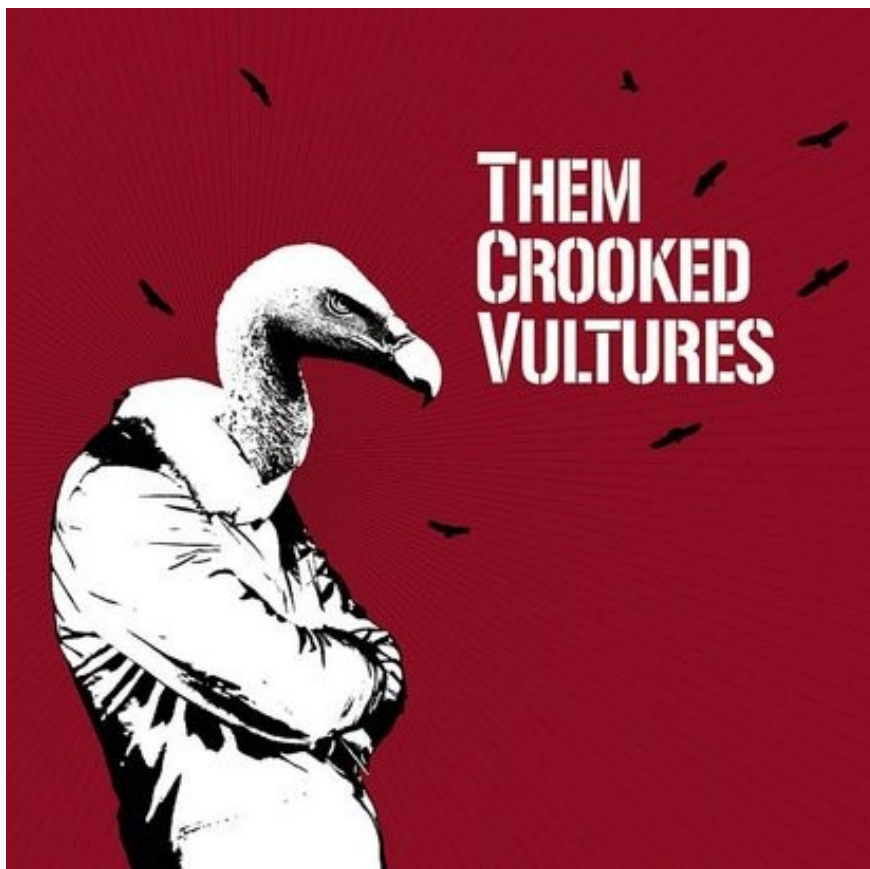
Placebo - Battle For The Sun

A więc Placebo bije się o słońce... No i rzeczywiście, muzycy wpuścili trochę światła i świeżości do swojej, kojarzącej się głównie z mrokiem i tajemniczością, twórczości. Za zapowiedź zmian można uznać wyśpiewywane w doskonałym, otwierającym płytę *Kitty Litter* słowa „I need a change of skin”, co potwierdza się już kilkadziesiąt sekund później, w *Ash-tray Heart*, gdzie słyszymy nietypowy, wesoły zaśpiew „cenicero”. Po tym powiewie świeżości nadchodzi ocieźniały, gitarowy wstęp do tytułowego *Battle For The Sun* i po wolnie melodeklamowany

tekst, z charakterystycznymi powtórzeniami. Po krótkim czasie całość rozkręca się i przechodzi w śpiewny refren, w którym przyjemne tło tworzą instrumenty smyczkowe. Utworem najmocniej nawiązującym do wcześniejszego, hipnotycznego Placebo jest *Devil In The Details*, z chórkami i przestrzennym refrenem. Od początku bardzo ciekawie zapowiada się zainspirowany filozofią wschodu drugi singiel, *The Never-Ending Why*, z mocarnym, wspieranym przez instrumenty dęte wstępem. W tym samym utworze mamy też liryczny refren z bardzo ciekawym, refleksyjnym tekstem. Zaskakujący jest niezbyt trafiony, elektroniczny wstęp do *Julien*, na szczęście jednak piosenka rozwija się korzystnie, dzięki gitarom nabiera mocy i przechodzi w zapadający w pamięć refren. Swoją delikatnością urzeka *Happy You're Gone*, o którym jednak szybko zapominamy za sprawą kolejnego, dynamicznego i przebojowego *Breath Underwater*, w którym naprawdę dużo się dzieje – zmiany tempa, ciężkie gitarowe riffy, chórki, no i smyki, które pojawiają się na tym krążku dość często. Aż dziwne, że utwór ten nie pojawił się na singlu zamiast, chociażby, *Bright Lights*. Tymczasem znowu zwalniamy – na deser dostajemy 2 spokojniejsze kawałki: melancholijne *Come Undone* oraz na-

prawdę piękne zwieńczenie płyty – wzruszające *Kings Of Medicine*.

były ogromne, gdyż każdy z tych panów udzielał się w projektach dla mnie (i, jestem tego pewny, dla wielu in-



Them Crooked Vultures – Them Crooked Vultures

Muszę zacząć od tego, że nie przepadam za tzw. Supergrupami. Nieraz, pomimo wybornego składu, za dużo w takich twórcach indywidualności, za dużo popisów, przez co materiał jest zwyczajnie niespójny i nieciekawym. Ale... kiedy przeczytałem gdzieś, że powstał zespół, w którym na bębnach gra Dave Grohl z Nirvany i Foo Fighters, wokalistą i gitarzystą jest Josh Homme z Queens Of The Stone Age, a na basie gra Paul Jones z... Led Zeppelin, po prostu oniemiałem. Oczekiwania

nych osób) absolutnie kultowych.

No ale jak moje oczekiwania mają się do jakości albumu? Są zdecydowanie spełnione! Na tym krążku jest moc, dynamika, mega chwytliwe melodie, czuć też, że muzycy to doświadczeni, wiedzący doskonale, co mają robić artyści. I robią to z charakterystyczną pewnością siebie muzycznych weteranów. Dla mnie największe piętno odciśnął na tym materiale charyzmatyczny Homme, dominuje bowiem stonerowe brzmienie, pojawiają się specyficzne, krótkie solówki. No i oczywiście jego głos. Trzej

panowie stworzyli wspólnie muzykę naprawdę czadową, z pazurem, z jajami, z genialnym, bujającym groovem (świetny *Gunman*). Może trochę brakuje zapadających w ucho refrenów, no ale artyści postawili na brzmienie, które jest naprawdę wyjątkowe. Szczególnie w takich utworach jak *Scumbag Blues*, *Elephants*, czy *Dead End Friends*. Zresztą nie ma co wyróżniać poszczególnych utworów – niemal wszystkie mają w sobie coś charakterystycznego i godnego uwagi. Chcecie posłuchać? Droga wolna, zespół udostępnił wszystkie utwory ze swojego debiutu na YouTube. A ze względu na wielki sukces projektu (wszystkie bilety na koncerty zespołu w Wielkiej Brytanii sprzedano w... 12 minut) lider zespołu, Dave Grohl, zapowiada, że druga płyta ukaże się jeszcze w tym roku i znajdziemy na niej jeszcze potężniejsze brzmienie. Trzymam kciuki!

Hey - Miłość! Uwaga! Ratunku! Pomocy!

W ostatnim czasie powszechne staje się odchodzenie zespołów rockowych od typowo gitarowego grania, zastępowanego częściowo przez elektronikę. I w tę stronę skierował się gigant polskiej sceny rockowej, zespół Hey. W sposób wyrafinowany i dojrzały muzycy połączyli siłę gitar z subtelnością stosowanych przez nich elementów elektronicznych

(najdoskonalszym przykładem niech będzie hipnotyzująca, ale i dynamiczna *Faza Delta*), dzięki czemu ich nowa płyta zyskała bardzo nowoczesne brzmienie. Zespół, mimo bogactwa instrumentarium, które zapewnia elektronika, postawił na oszczędne aranżacje, głównie spokojne, nostalgiczne melodie, przez co płyta ma swego rodzaju intymny klimat. Na pierwszym planie głos Nosowskiej, która, rezygnując z krzyku (z jednym wyjątkiem), postawiła na łagodny, budujący nastrój wokali. W tle wyeksponowany głównie bas i automat perkusyjny, wkomponowują się w roztańczoną przez głos Nosowskiej aurę. A ta jest magiczna, szczególnie w utworach *Pierś ćwierć*, *Stygnę*, czy *Boje się o nas*. Trochę więcej energii mamy w numerze tytułowym, w którym czuć funkowy charakter, czy w pierwszym singlu – bardziej gitarowym *Kto tam? Kto jest w środku?* (fankom Pawła Małyszkińskiego polecam teledysk do tej piosenki ;)

Album najlepiej wkomponowuje się w klimat spokojnych, zimowych wieczorów, więc właśnie teraz jest idealny czas, by cieszyć się najnowszym krążkiem Heya. Sami oceńcie.

Oczywiście w roku 2009 pojawiło się dużo więcej fantastycznych płyt, ale wszystkich, jak wiadomo, nie sposób przedstawić. Chciałbym

jednak polecić Wam kilka najbardziej wyróżniających się wydawnictw – za debiut roku z pewnością mogą uznać zespół The xx z ich znakomitym, nastrojowym albumem *xx*. Fani mocniejszego brzmienia powinni zapoznać się (zapewne większość już to zrobiła) z takimi metalowymi perełkami jak thrashowe *When Death Comes* zespołu Artillery, czy *World Painted Blood* Slayera. Jak najbardziej godne uwagi są także najnowsze dzieła Huntera, Behemoth, Rammsteina, Franz Ferdinand, czy dumy polskiego prog rocka, Riverside. Komentarze na temat tychże zespołów na końcu gazetki mile widziane

TO NIE BĘDZIE ZWYKŁA RECENZJA...

Artykuł autorstwa Krystiana Grzelaka

Mamy czwartek, 14 stycznia 2010 roku. Godzina 20:34. Przed momentem dowiedziałem się, że będę miał tę życiową szansę, aby zrecenzować prawdopodobnie pierwszą (jeśli się mylę, proszę, poprawcie mnie) w historii naszej szkoły tego typu inicjatywę. A przynajmniej na tak dużą skalę. Bo w końcu wystawienie adaptacji prozy Marka Hłaski należało by rozpatrywać w kategoriach wydarzenia roku. Prozy, która już podczas przerabiania jej w trzeciej klasie gimnazjum trafiła do mnie doskonale i wywołała wielkie, wręcz do granic możliwości, zainteresowanie tym spektaklem. Dlaczego akurat ja to piszę? Ciężko stwierdzić – może dlatego, że zasnęłam i nie zdążyłam zapalać się na rolę w tym przedstawieniu. Mógłbym zagrać chociażby... drzewo lub powietrze. Nie ukrywam, mam parcie na szkło i każda okazja do wypromowania swojego wizerunku byłaby przydatna. Dobra, koniec tych żartów – w gruncie rzeczy jestem skromnym człowiekiem i wcale nie kręci mnie występowanie na scenie. Zresztą we mnie talentu aktorskiego można by ze świecą szukać, a i tak głównym sukcesem byłoby poparzenie mnie od wewnątrz. Yyy... nie brzmi atrakcyjnie. Tak sobie siedzę i zastanawiam się, czemu zapisałam już niespełna pół strony A4 w Wordzie (okej, piszę to w Notatniku, nie wiem, ile tego jest), a nadal nie przeszedłem do meritum tej recenzji. O, może właśnie dlatego, że to nie

będzie typowa recenzja. W końcu ktoś, kto choć minimalnie zna mój charakter i zamiłowania dziennikarskie, nie mógł się spodziewać sztywnego, typowego tekstu – ja przy takich usypiam, dlatego też wolę postawić na coś innego. Może się to Wam podobać lub nie, ale aktualnie nie macie wiele do powiedzenia – to ja mam klawiaturę, a co za tym idzie – i władzę. Już tylko ewentualna degradacja przez sorkę tego tekstu do działu niepublikowanych mogłaby spowodować, że nie przeczytacie tych słów. Właśnie teraz w mojej głowie pojawiła się idea na tytuł tej "recenzji". Ja nie jestem zwy- y/normalny/zwyczajny (niepotrzebne skreślić), więc i wszystko, co wyjdzie spod mojego pióra, takowe nie będzie. Okej, może czas powoli kończyć ten przydługi i zbyt nudny wstęp, bo pewnie przynajmniej połowa z Was przewróciła już kartkę na kolejną stronę i zaczęła rozkoszować się doskonałą twórczością moich kolegów autorów. Wszakże warto zwrócić uwagę, że do spektaklu jeszcze 12 dni, a ja zapisałam już pewnie jakieś 150% przeznaczonego na mój artykuł miejsca. Cóż, lajf is brutal. Dobra, do zobaczenia niebawem, wracam do tworzenia tego "dzieła" za kilka dni. Buziaki!

Kilkanaście dni później...

Stało się. Przed momentem, po przybyciu do domu, skończyłem jeść obiad i ponownie otworzyłem ten plik teksto-

wy, aby dokończyć to, co zacząłem jakiś czas temu. Zanim jednak przejdę do przelania moich odczuć na klawiaturę, odniosę się do kilku spraw. Już od kilku dni od głównych bohaterów tego tekstu było dość spore przejęcie i podenerwowanie, które szczególnie mocno udzieliło się pomysłodawczyniom tego przedsięwzięcia. Nie ma się zresztą czemu dziwić – wszak pierwszy krok w... roli reżysera to niewątpliwie stresujące doświadczenie. Także grupa młodych i nieokiełzanych aktorów prawie bez przerwy przypominała sobie swoje kwestie, a jednym z głównych tematów przez nich poruszanych był właśnie ten spektakl. W ten najważniejszy dzień doskonale było jednak widać, że debiutujący na scenie aktorzy radzą sobie z presją zdecydowanie lepiej aniżeli ich opiekunowie. Hmm... teraz, zagryzając jakieś wafle, które znalazłem na biurku, zastanawiam się, jak najprościej przejść do głównego smaczku, czyli samego występu. Mmm... aach, wiem! Chciałem jeszcze napomknąć, że choć początkowo obejrzyć tę adaptację miałem dopiero jutro, to, dzięki dobroduszości sora Marcina Socika, który ze względu na tę recenzję zwolnił mnie z angielskiego, mogę zabrać się za to już dziś. Po pięciu godzinach lekcyjnych, ubrany w kurtkę, owinięty dwoma szalikami i z założonymi na dłonie rękawiczkami, udałem się do auli szkolnej. Czytając ten tekst, na pewno już zapomnicie o

tym, że w poniedziałkowe przedpołudnie, a więc najzimniejszy jak dotąd dzień w roku, w naszej szkole wysiadło ogrzewanie i temperatura w niektórych miejscach spadła poniżej pięciu stopni Celsjusza. Zwarty i gotowy zająłem miejsce wśród czekających na swój występ aktorów i zacząłem oczekiwanie na rozpoczęcie spektaklu. Trochę rozczarowałem się liczbą widzów, którą tworzyli zaledwie, jeśli się nie mylę, uczniowie dwóch trzecich klas licealnych. Wkrótce zaczęło się to, do czego przygotowania trwały od ponad miesiąca. „The show must go on!” – jak śpiewał legendarny Freddy Mercury.

Kiedy tak siedziałem sobie na niewygodnym krześle-

ku, słuchając doskonale śpiewającej Moniki, zdawałem sobie sprawę, czego mogę się spodziewać. W ławce siedzę z Damianem, który odgrywał jedną z głównych ról i, nie ukrywam, kilka razy przestudiowałem scenariusz z czystej ciekawości. Jeśli chodzi o formę przedstawienia, to autorzy zdecydowali się na odegranie trzech opowiadań Hłaski. Na pierwszy ogień poszła historia pod tytułem „Pierwszy krok w chmurach”. Obściskujący i miziający się na kocu Ola i Tomek na pewno wzbudzili wśród widzów nie małe zainteresowanie, a ci, którzy wcześniej nie zapoznali się z treścią dzieł słynnego prozaka, mogli odczuwać niepokój przed tym, co mogło się za chwilę wydarzyć. Potem na scenie pojawiło się trzech starych

meneli, w których wcielili się Kuba, Łukasz i Damian. Pierwsze wrażenie? Jak najbardziej dobre. Nie zepsuło go nawet nieplanowane stłuczenie butelki przez jednego z aktorów, który najwidoczniej dał upust swoim emocjom. W momencie wydobywania się z ust Brudzyniaka pierwszej (tu miał być zacytowany pewien wyraz, jednak ze względu na to, że nie każdy widział spektakl, mógłbym zostać posądzony o prowokację), a raczej pierwszego wulgaryzmu, czym prędzej skierowałem swój wzrok na publikę, w tym także Panią Dyrektor i innych nauczycieli. Choć na twarzach niektórych uczniów pojawił się uśmiech, to i tak byłem zaskoczony zachowaniem należytego skupienia i zadumania. Zmagając się z sms-ami od re-



daktora naczelnego gazetki, w której czytacie ten artykuł, a mianowicie szanownego Kinka, który w sposób odpowiadający słownictwu ze spektaklu wyrażał niezadowolenie z faktu, iż nie ma mnie na lekcji, doczekałem się adaptacji drugiego opowiadania Marka Hłaski. W „Ślicznej dziewczynie”, bo to właśnie ten tekst mam na myśli, główne role odgrywali Zuzia i Mateusz. No cóż, nie powiem nic odkrywczego, jeśli stwierdzę, że także oni spełnili pokładane w nich nadzieje i wyszli z tej „bitwy” obronną ręką. Ostatnim z wystawionych widowisk był „Lombard złudzeń”, w którym doskonale spisał się bliżej nieznany mi osobnik z długimi włosami – Szymon. Nieźle dotrzymywały mu kroku także koleżanki (Łucja i Justyna), które bez najmniejszych nawet potknięć z pasją zagrały swoje role.

Popełniłbym wielki błąd, gdybym nie wspomniał o oprawie muzycznej tego spektaklu. Widząc na scenie Michała, Łukasza i resztę, mogłem być pewien, że będę świadkiem najwyższej jakości piosenek, wpadających w ucho i doskonale wpasowujących się w całość kształt dzisiejszego show.

Na koniec chciałem poruszyć jeszcze kilka mniej lub bardziej istotnych spraw. Zacznę może od wyjaśnienia, że oczywistym było, iż nie mógłbym wylać na to dzieło (tak, nie bójmy się tego słowa) potoku zimnych słów. Jest tak z kilku powodów, a najważniejszy z nich to chociażby fakt, że nie czuję się na tyle kompetentnym

recenzentem, aby w negatywny sposób oceniać tak wielką i doskonałą robotę ludzi, którzy spędzili mnóstwo czasu na tym, żeby jak najlepiej się przed nami zaprezentować. I jestem przekonany, że należą im się ogromne brawa za to wszystko, co zaprezentowali, bo zrobili to w wyśmienity sposób. Nie zepsuły tego nawet pojedyncze wpadki – chociażby pomyłka jednego z konferansjerów czy też niedziałający mikrofon – błyskawicznie przeobrażone w zabawny sposób w żart. Na wielkie uznanie zasługuje odwaga i nowatorskie podejście do tematu – twórcy nie mieli oporów przed zachowaniem w spektaklu wulgaryzmów, które przecież nie są nikomu obce. Zresztą, jak powiedział po zakończeniu przedstawienia jeden z moich znajomych – przedstawienie Hłaski bez przekleństw byłoby jak pójście do domu publicznego na przytulanie. Ponadto udowodniono, że nawet bez wspaniałej scenografii i kostiumów można stworzyć coś wybitnego – rzecz jasna, jak na nasze szkolne warunki. Tak w sumie to już chyba wszystko, co chciałem napisać na ten temat. A nie, jeszcze jedno. Skoro mam już taki przywilej, chciałbym wyróżnić czwórkę aktorów, którzy zrobili na mnie największe wrażenie. Mam tu na myśli wspomnianą wcześniej Zuzię, Łukasza, tajemniczego kolegę Szymona, a także Michała, którego gra, pomimo epizodycznej roli, spodobała mi się najbardziej i niemal ścięła z nóg. Mówię serio, gratuluję. Jesteście wielcy i mam nadzieję, że osoby, którym dane było spędzić te dwie godziny

lekcyjne w niemal arktycznej auli, również wyciągnęły z tego wszystkiego jakiś morał i nie przyszły jedynie z radością opuszczenia lekcji. A nawet jeśli tak było, to wierzę, że ich podejście diametralnie się zmieniło. Jednym słowem, wielkie brawa, byliście doskonali. Po co ja się w ogóle tak rozpisuję? Przecież Wy doskonale zdajecie sobie z tego sprawę, że było fantastycznie. Aha, pamiętajcie, nie miejcie do mnie pretensji o ten tekst – w końcu to nie była zwykła recenzja...

Wypowiedzi części osób biorących udział w przedstawieniu (wg kolejności alfabetycznej):

Tomek Antosiewicz: Po spektaklu odczucia są doskonałe – na pewno każdego z „aktorów” ogarnęło rozpierające spełnienie i radość. Scena z Olą rzeczywiście mogła być trudna dla debutanta, ale musiałem się po prostu skoncentrować i uwierzyć w to, że na sali nie ma rodziców, nauczycieli czy dyrekcji, lecz jedynie my i nikt więcej.

Łucja Białorucka: Teraz, kiedy wszystko dobiegło już końca, poculiśmy tę niesamowitą dumę – z siebie, z kolegów, ze wszystkich. Fantastycznie było współpracować ze sobą podczas tworzenia tego spektaklu i mam cichą, aczkolwiek ogromną nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję, by uczestniczyć w takim projekcie razem. Choć podczas przedstawienia odczuwaliśmy ogromny stres, to daliśmy sobie radę i teraz pozostaje się jedynie z tego cieszyć.

Damian Brudzyński: Pamiętam, że na casting poszedłem z

czystej ciekawości, bez uprzedniego przygotowania, żeby zobaczyć, jak to będzie. Jednak po tym, jak dostałem rolę i zobaczyłem, że sorki traktują to poważnie, nie miałem wyboru. Generalnie było to świetne doświadczenie, które miło wspominać. Podobał mi się fakt, że każdy chętnie przychodził na próby, często po męczącym dniu, i tam wprawiał się w dobry nastrój, wręcz się odstroso- wywał. Próby były cudowne, genialne się tam bawiłem. Mie- liśmy dużo zabawnych sytuacji, najczęściej podczas szlifowania własnych kreacji, scen. Dla mnie sporym wyzwaniem było zgranie się z pozostałymi ko- legami, ponieważ nasza scena była najbardziej

„dynamiczna”. Musieliśmy mieć dobrą koordynację, żeby nie wcinać się sobie nawzajem w tekst. Próby były chaotyczne, ale w dniu pierwszego występu coś się zmieniło – magia, cud. Wszystko ułożyło się w sensowną całość. To było świetne uczucie, gdy po udanym przed- stawieniu wymienialiśmy się spostrzeżeniami i emocjami. Mogę naprawdę dużo o tym mówić, ale kończąc, nasuwa mi się myśl, że z perspektywy krótkiego czasu widzę, że kosz- tem niemałego wkładu pracy, arktycznej temperatury (w dniu 1. występu), zyskałem dużo – głównie dobrze spędzony czas z pozytywnymi ludźmi. Nie opiszę tego, bo nie jestem w stanie. To trzeba przeżyć, ale jednego jestem pewien – było warto.

Michał Kornatowski: Tego ty- pu przedsięwzięcia są na pew- no bardzo ciekawym doświad- czeniem. Dzięki nim możemy

się wiele nauczyć, zawrzeć no- we znajomości i, przede wszystkim, świetnie się bawić. Czas, który spędziliśmy na pró- bach i przygotowaniach, a tak- że sam moment występu, był czymś fenomenalnym i niewąt- pliwie każdy z nas chciałby przeżyć to jeszcze raz.

Zuzanna Paszkowska: Uwa- żam, że jest to bardzo pozy- tywny i fajny efekt działań młodych ludzi, który pokazuje, że współczesnej młodzieży też się chce, że jesteśmy kreatywni, zdolni, a wolny czas wolimy spędzać w ciekawy sposób, do- brze się przy tym bawiąc. W połączeniu z ponadczasowymi historiami Hłaski, które dotyczą problemów, mogących spotkać także nas, powstała świetna ini- cjatywa. Dla mnie był to świet- nie spędzony czas z fajnymi ludźmi – bez względu na po- tworne zimno w auli, chwilowe braki mobilizacji czy inne pro- blemy. Dużo zmartwień przy- niosło nam myślenie o tym, jak odbiorą nas inni. Było to jedno z pierwszych tego typu przed- sięwzięć i ciężko było przewi- dzieć reakcje. Rzecz jasna, pro- blemem były też przekleństwa, szczególnie chyba dla serek – nam najciężej było ich używać, gdy mieliśmy świadomość, iż prezentujemy się przed bliski- mi. Kiedy jednak przyszło do wyjścia na scenę, czuliśmy się całkiem naturalnie, w czym po- mogła nasza dobra znajomość, dzięki czemu byliśmy przekonani, że możemy sobie zaufać. Po spektaklu odczuwałam ogromną dumę z naszej pracy.

Marta Domańska: Pomysł na spektakl wyszedł spontanicznie

– wraz z panią Dzitowską chcieliśmy zrobić coś, dzięki czemu uczniowie mogliby po- czuć się i głównymi aktorami, i – choć częściowo – autorami. Postawiliśmy na Hłaskę, które- go, mówiąc prywatnie, cenię szczególnie za bezkompromiso- wość i – prawdę. W całym przedsięwzięciu najwspanialej było obserwować zmiany, jakie przechodzili uczniowie, którzy z biegiem czasu wczuwali się w swoje role, a tekst przestali traktować tylko jako papierową literaturę. Świetna była ta at- mosfera akceptacji i sympatii, która ułatwiła poznawanie przez nich swoich możliwości. A jeśli chodzi o mnie – byłam przerażona. Pierwszy raz w ży- ciu zajęłam się czymś takim i okazało się, że jestem niesamo- wicie nerwowa, choć wcześniej tego nie podejrzewałam. Już po wszystkim odczułam niesamo- witą dumę z bohaterów i ra- dość, że poradzili sobie ze stre- sem i zaprezentowali się z naj- lepszej strony. I za ten wysiłek serdecznie dziękuję.

Bożena Dzitowska: Za moich czasów licealnych, młodzieńcze opowiadania Marka Hłaski na- leżały do kanonu lektur szkol- nych. Do dziś pamiętam, jak duże wrażenie wywarły na mnie te teksty. Choć świat, w którym teraz żyjemy, jest zupeł- nie inny od tego, w którym upływała moja młodość, jestem przekonana, że wrażliwość młodych ludzi nie zmieniła się na przestrzeni lat. Stąd pomysł wskrzeszenia w świadomości naszych licealistów pisarza wciąż żywego, za którego wraz z koleżanką uznajemy Marka Hłaskę. Chcieliśmy zaintereso- wać młodych ludzi tą twórczo- ścią i skłonić do trudnej, dojrze-

lej refleksji nad sobą, światem, relacjami międzyludzkimi. Sam pomyśl to oczywiście za mało, potrzebni byli chętni do jego realizacji. I to dzięki ich zapale, odwadze i dojrzałości udało się zrealizować zamysł. Za co serdecznie dziękuję. Wspaniale było patrzeć na to, jak z każdą próbą rosło zaangażowanie aktorów, wzajemne zrozumienie i sympatia. Część grających przed przedstawieniem знаła się tylko z widzenia, a w czasie prób stali się dobrymi znajomymi. Jeśli do tego dodać mnó-

stwo śmiechu i zabawy, które potrafiły ogrzać prawie ujemną temperaturę w auli, to naprawdę było warto.

Autorzy spektaklu (w kolejności alfabetycznej):

Aktorzy: Tomasz Antosiewicz, Mateusz Bajkowski, Łucja Białorucka, Patrycja Boruta, Damian Brudzyński, Patryk Chrostowski, Kinga Fatek, Joanna Felczak, Michał Kornatowski, Patrycja Kretkiewicz, Monika Lutomirska, Piotr Machaj, Mag-

da Michalczuk, Jakub Nowak, Justyna Palusińska, Zuzanna Paszkowska, Olga Rykowska, Karol Rymer, Łukasz Sokal, Adam Stasiak, Szymon Zwierew

Muzyka: Michał Brożyna (aranżacja muzyczna), Alicja Olejniczak, Agata Piórkowska, Monika Pośpiech, Kinga Raczowska, Przemysław Sawicki, Łukasz Szostek

Opieka merytoryczna: Marta Domańska, Bożena Dzitowska

Year One

Artykuł autorstwa Szymona Jakubowskiego

Pewnego feriewego poranka obudziłem się z myślą pomocy światu. Przed moimi oczami ukazała się wtedy soroka, która zaszantażowała mnie, abym napisał dla niej recenzję wybranego filmu. Pomyślałem – co mi szkodzi. Zastanawiałem się nad czymś ambitnym, ale niestety nie posiadałem niczego takiego pod ręką. Wybierałem spośród thrilleru, sensacji i komedii. Z racji tego, że miałem ochotę się pośmiać, postawiłem na „Year One” Harolda Ramisa.

Film obrazuje w karykaturalny sposób przypowieści biblijne dotyczące początków świata. Akcja zaczyna się w wiosce pierwszych ludzi. Główni bohaterzy filmu, Zed i Oh, to dwójka przyjaciół, która zostaje wygnana z wioski, kiedy to jeden z nich zasmakuje zakazanego owocu. Następnie wędrują po świecie, przy okazji poznając go i ucząc się nowych rzeczy. W międzyczasie przydarzają się im różne historie, nie-

które zaczerpnięte prosto z Biblii. Po serii ciekawych wydarzeń ich nowo poznany przyjaciel sprzedaje ich do niewoli. Do niewoli pojmاني byli też ich dawni przyjaciele z wioski. Od tego czasu robią wszystko, żeby uratować ich i tym samym wkraść się w ich laski.

Na szczególną uwagę zasługuje scenariusz Ramisa, który zbytnio nie przesadził z karykaturyzacją wydarzeń biblijnych. Po pierwsze uważam, że film nie urazi najradzykalniejszych katolików, a po drugie wszystko jest stonowane i nieprzesadzone. Sam pomyśl na film był na pewno bardzo dobry, a przede wszystkim to coś nowego. Nikt wcześniej nie brał się za coś takiego. Niewątpliwie to przyciąga ludzi. Na sukces filmu wpływa oczywiście fakt, że reżyser i scenarzysta to jedna osoba. Autor wiedział zatem, jak obraz powinien wyglądać i naprawdę udało mu się oddać swoje wyobrażenie opowie-

dzianej historii.

Oczywiście nie tylko scenariusz i reżyseria wpłynęły na odniesiony sukces. Bez wątpienia nie udałooby się bez zdolnych aktorów. Tutaj także – mile zaskoczenie. Pojawia się wiele młodych twarzy. Obok Jacka Blacka grającego Zeda widzimy mnóstwo nowych, mniej doświadczonych artystów niespotykanych często w filmach fabularnych. Mimo tego, że wielu aktorów widzimy po raz pierwszy czy też drugi, nie ucierpimy z powodu ich gry. A to dlatego, że nie można się do niczego przyczepić.

Film budzi we mnie wyłącznie pozytywne emocje. Może nie jest zbyt ambitny, ale doskonale nadaje się na wieczór z komedią czy na poprawę humoru. Zachęcam oczywiście to obejrzenia tego filmu. Poświęcony przez Was czas na pewno nie będzie stracony. Chyba nie muszę mówić, na co bym się



Pewnego feriewego poranka obudziłem się z myślą pomocy światu. Przed moimi oczami ukazała się wtedy sorka, która zaszantażowała mnie, abym napisał dla niej recenzję wybranego filmu. Pomyślałem – co mi szkodzi. Zastanawiałem się nad czymś ambitnym, ale niestety nie posiadałem niczego takiego pod ręką. Wybierałem spośród thrilleru, sensacji i komedii. Z racji tego, że miałem ochotę się pośmiać, postawiłem na „Year One” Harolda Ramisa.

Film obrazuje w karykaturalny sposób przypowieści biblijne dotyczące początków świata. Akcja zaczyna się w wiosce pierwszych ludzi. Główni bohaterzy filmu, Zed i Oh, to dwójka przyjaciół, która zostaje wygnana z wioski, kiedy to jeden z nich zasmakuje zakazanego owocu. Następnie wędrują po świecie, przy okazji poznając go i ucząc się nowych rzeczy. W międzyczasie przydarzają się im różne historie, niektóre zaczerpnięte prosto z Biblii. Po serii ciekawych wydarzeń ich nowo poznany przyja-

ciel sprzedaje ich do niewoli. Do niewoli pojmami byli też ich dawni przyjaciele z wioski. Od tego czasu robią wszystko, żeby uratować ich i tym samym wkraść się w ich laski.

Na szczególną uwagę zasługuje scenariusz Ramisa, który zbyt nie przesadził z karykaturyzacją wydarzeń biblijnych. Po pierwsze uważam, że film nie urazi najradzykalniejszych katolików, a po drugie wszystko jest stonowane i nieprzesadzone. Sam pomysł na film był na pewno bardzo dobry, a przede wszystkim to coś nowego. Nikt wcześniej nie brał się za coś takiego. Niewątpliwie to przyciąga ludzi. Na sukces filmu wpływa oczywiście fakt, że reżyser i scenarzysta to jedna osoba. Autor wiedział zatem, jak obraz powinien wyglądać i naprawdę udało mu się oddać swoje wyobrażenie opowiedzianej historii.

Oczywiście nie tylko scenariusz i reżyseria wpłynęły na odniesiony sukces. Bez wątpienia nie udałoby się bez zdolnych aktorów. Tutaj także – mile zaskoczenie. Pojawia się wiele młodych twarzy. Obok Jacka Blacka grającego Zeda widzimy mnóstwo nowych, mniej doświadczonych artystów niespotykanych często w filmach fabularnych. Mimo tego, że wielu aktorów widzimy po raz pierwszy czy też drugi, nie ucierpimy z powodu ich gry. A to dlatego, że nie można się do niczego przyczepić.

Film budzi we mnie wyłącznie pozytywne emocje. Może nie jest zbyt ambitny, ale doskonale nadaje się na wieczór z komedią czy na poprawę hu-

moru. Zachęcam oczywiście to obejrzenia tego filmu. Poświęcony przez Was czas na pewno nie będzie stracony. Chyba nie muszę mówić, na co bym się zdecydował, mając do wyboru naukę, choćby do sprawdzianu, i film. Szkoła o tobie nie zapomni, a film i owszem. DLA MNIE BOMBA! :D

Invictus

Artykuł autorstwa Adama Stasiaka

Choć rasizm teraz nie jest tak powszechnym zjawiskiem jak kiedyś, to nadal występuje. W poprzednim wieku był to bardzo istotny problem, a w RPA jeszcze w latach 90. utrzymywał się apartheid. Nieludzkie, gorsze traktowanie ludzi o innej rasie było przedmiotem wielu sporów przez lata. Liczne instytucje oraz ludzie walczyli o interesy prześladowanych.

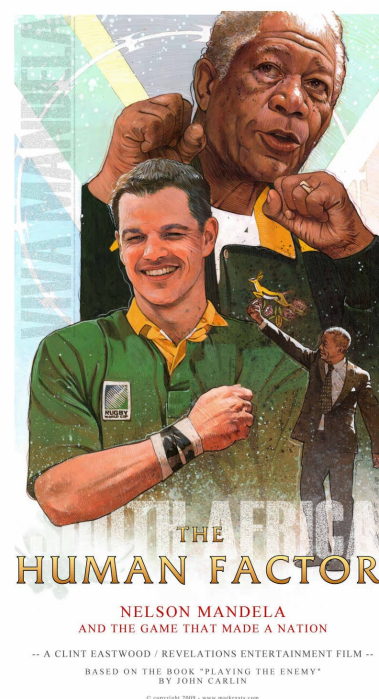
O takim człowieku opowiada właśnie najnowszy film Eastwooda. „Invictus” to kolejny po „Gran Torino” film Eastwooda krążący wokół tematu rasizmu. Chociaż akcja filmu toczy się w 1995 już po upadku apartheidu, to rasizm jest głównym jego tematem. Pokazuje on, jak przewrót, który dokonał się w RPA, zmienił kraj. Jest tu zobrazowana typowa niechęć, a wręcz nienawiść białych do czarnych (choć ona też tutaj występuje), ale także wskazanie na to, że czarni, którzy byli przez lata represjonowani, katowani, poniżani przez białych, teraz chcą zemsty – pragną odplacić się poprzedniej władzy. Nie wystarczy już im wolność, chcą zupełnie odciąć się od białych ludzi, odsunąć ich od polityki. Jednak Nelson Mandela (świetna rola Morgana Frejmana) sprzeciwia się temu i chce, by dzisiejsze RPA to była wspólnota ludzi białych i czarnych, by razem zarządzili krajem i żyli w komitowie. Mandela jest tu pokazany jako bardzo mądry człowiek, który ma w sobie wiele spokoju i cierpliwości – właśnie takiego

prezydenta potrzebowało wtedy RPA. Film pokazuje zaangażowanie prezydenta w połączenie dwóch wrogo do siebie nastawionych ras. Znakiem tych starań jest wspieranie przez Mandelę narodowej drużyny rugby Springbroks, a konkretnie jej kapitana Francois Pienara (w tej roli Matt Damon). Mandeli, jak i Pienarowi marzy się zwycięstwo w mistrzostwach świata w rugby organizowanych w 1995 właśnie w RPA. Prezydent głęboko wierzy, że taki sukces może zjednoczyć cały kraj i zniwelować przeciwności rasowe.

Jest to kolejna historia o tym, jak jeden człowiek mógł zmienić bieg historii i osiągnąć wielkie zwycięstwo. Można też zauważyć, że wspólny interes narodu jest czymś, co go zespała i usuwa wcześniejsze obawy czy też uprzedzenia. Choć film nie ma dynamicznej, rozbudowanej akcji, to interesuje, głównie dzięki ciekawym rozmowom pomiędzy Mandelą i innymi bohaterami. Pomimo tego, że powstało już kilka filmów na temat tej postaci, to ten pokazuje nowe ciekawe fakty.

Głównym motywem filmu jest rasizm. Rasizm wynika z niezadowolenia ludzi, z ich próby obarczenia winą za swoje niepowodzenia innych. Z powodu ich ignorancji, uprzedzenia wykształtowali model lepszego i gorszego człowieka. Jest też efektem wywyższania się ludzi spośród mas oraz próby pokazania swojej odrębności, rozumianej jako coś lepszego.

Rasizm jest postawą błędną, którą należy negować.



This poster artwork is a concept only and the name under which the movie is released might change. This concept is not an official release by Revelations Entertainment, Clint Eastwood or of the book's author -- John Carlin.

Ciekawy przypadek Benjamina Buttona

Artykuł autorstwa Michała Kornatowskiego

Dużo czasu zajęło mi samo zastanawianie się nad dobrym tematem artykułu. Pomimo że „Ciekawy przypadek Benjamina Buttona” nie należy już do nowości światowego kina, wywarł na mnie ogromne i bardzo pozytywne wrażenie, więc postanowiłem podzielić się własnymi odczuciami i refleksjami.

„Urodziłem się w okolicznościach niezwykłych...”

Tym zdaniem zaczyna się kultowa ekranizacja noweli F. Scotta Fitzgeralda z lat dwudziestych XX wieku, opowiadająca historię człowieka, który przyszedł na świat w ciele starszego mężczyzny i zamiast, logicznie z biologicznego punktu widzenia, starzeć się, młodził z dnia na dzień. Benjamin urodził się 11. listopada 1918 roku, w dniu zakończenia I Wojny Światowej. Matka umarła przy porodzie, a ojciec, nie chcąc wychowywać najwyraźniej przedwcześnie skrzywdzonego przez los dziecka, podrzucił je przypadkowym ludziom pod drzwiami.

Benjamin wychowywał się w domu opieki dla seniorów,

wszyscy zaakceptowali jego odmienność i traktowali życzliwie. Sam „chłopiec” czuł się wśród nich dobrze, podświadomie wiedząc, że nie znalazłby wspólnego języka z rówieśnikami, chociaż bardzo tego pragnął.

Zapamiętałem jej niebieskie oczy na zawsze. Od momentu, w którym Benjamin poznał Daisy na niedzielnym spotkaniu rezydentów domu z bliskimi, w Święto Dziękczynienia 1930 ro-

ku, coś się dla niego zmieniło. Od razu zobaczył w dziewczynce kogoś wyjątkowego. Pomimo wyraźnej granicy pomiędzy nimi, świetnie się dogadywali i za każdym razem, kiedy przyjeżdżała, spędzali miło czas. Kiedy odjeżdżała, pozostawał smutek i melancholia. Łączyła ich tajemnica.

Byłem w burdelu, pozna-

łem smak alkoholu, pożegnałem przyjaciela i pochowałem przyjaciółkę.(...) Spakowałem się i opuściłem dom. W 1936 roku, Benjamin rozpoczął samotną tułaczkę po świecie, chcąc odnaleźć swoje w nim miejsce. Pływał na holowniku z zaprzyjaźnionym kapitanem Mike’em, przeżył romans z tajemniczą Elizabeth, jak i późniejsze rozczarowanie tą przelotną miłostką, zwiedzał świat. Przez cały czas pisał listy do Daisy, która w tym czasie robiła światową karierę tańeczną. Wypadek jednak uniemożliwił jej spełnianie się w pasji.

Pomimo wielu przeciwności losu, Benjamin i Daisy w końcu zostali razem. Spotkali się na tak zwanym „życiowym półmetku” i przeżyli parę cudownych lat. On jednak stawał się coraz młodszy, ona coraz starsza.

Nie mogli zostać razem, oboje zdawali sobie z tego sprawę. Kiedy okazało się, że Daisy jest w ciąży, Benjamin wyjechał. Odnalazła go po latach. Umarł na jej rękach jako kilkumiesięczne niemowlę.



Przodem do tyłu

„Ciekawy przypadek Benjamina Buttona” opowiada bardzo uniwersalną historię człowieka, który próbuje odnaleźć swoje miejsce na świecie, zdając sobie sprawę ze swojej „inności”, uwydawniony, od dawien dawna towarzyszący człowiekowi motyw przemijania. Koliber, ukazujący się parę razy podczas filmu, w przełomowych momentach historii, może w tym kontekście symbolizować ludzkie życie.

Od najmłodszych lat Benjamin postrzegany jest jak „dziwadło”, wybryk natury. Błąka się we mgle, opiera swoje zachowanie i buduje swój światopogląd na podstawie rozmowy z nowo napotkanymi na swojej drodze ludźmi. Ma nadzieję, że czegoś się od nich nauczy, próbuje na tej podstawie kreować swój świat.

Zarówno porażki, jak i wzloty uczą go czegoś, nowego sposobu patrzenia na niektóre sprawy. Sama narracja w filmie wskazuje na to, że Benjamin słucha. Ponadto pomaga ona jeszcze głębiej zrozumieć jego emocje, to, co „chłopak” stara się odkryć w innych ludziach, co na pierwszy rzut oka w nich widzi, jak interpretuje. Mimo starczego wyglądu Benjamin ma rozum dziecka i fakt, że ludzie traktują go jak dorosłego człowieka sprawia, że proces jego socjalizacji przebiega zupełnie inaczej niż u innych ludzi. Musi się szybciej uczyć.

Motyw miłości. Button, od kiedy spotkał Daisy, wciąż o niej myśli. Kiedy ma około trzy-

dziestu lat (wygląda na pięćdziesiąt), próbuje się z nią skontaktować i do niej dotrzeć, lecz ta jest zaabsorbowana karierą i hulaszczym życiem. Benjamin zdaje sobie sprawę, że Daisy jest młodą, piękną kobietą i zaczyna zastanawiać, czy to nie jego stary wygląd przeszkadza im w nawiązaniu wspólnego języka. Wie również, że nawet jeśli w końcu będzie mógł być z ukochaną, nie będą mogli smakować pełni szczęścia do końca. Młodość ich rozdzieli.

A jak to jest z nami?

Czego uczy nas film? Przede wszystkim, że każdy z nas ma swój czas – jedni dostają go na początku życia, inni w młodości, a jeszcze inni dopiero u schyłku swoich dni. I każdy ma czas na miłość. Trzeba tylko na siebie trafić w odpowiednim momencie – i tak jak w przypadku Benjamina, który musiał ułożyć sobie życie, zanim wymłodził, i synchronizować je z kobietą, która podążała w innym kierunku, tak nam pozostaje tylko mentalna synchronizacja. Uczy też tego, żeby „odpuścić”, gdy zbliża się koniec życia – bo śmierć jest zbyt wielką tajemnicą, żeby profanować jej moment ziemskimi wyrzutami. *Możesz złorzeczyć i przeklinać los, ale kiedy nadchodzi koniec – po prostu odpuść.* Zdanie pada w filmie aż dwa razy – raz Benjamin jest słuchaczem, później – sam ma możliwość się do niego zastosować. Gdyby nie zwykła dobroć Quenee, która przygarnęła pod swój dach małego, starego człowieka, Benjamin nigdy nie miałby okazji,

żeby opowiedzieć swoją historię. Niektórzy po prostu są stworzeni do tego, żeby być matkami. I ich rola jest tak samo ważna i wzniosła jak tych, którzy są artystami, zegarmistrzami czy specami od guzików.

Krótko o klimacie

Fenomen filmu nie zależy tylko od innowacyjnej fabuły. Składa się na niego wiele czynników, które w skrócie warto przedstawić: gra aktorska, ukłony szczególnie dla Brada Pitta i Kate Blachet, niesamowita charakteryzacja, za którą film dostał Oscara a dzięki której mogliśmy zobaczyć dwudziesto- czy sześćdziesięcioletniego Brada i pięćdziesięcioletnią Kate. Scenografia i klimat filmu, jak dla mnie, są niesamowite, wierne oddają realia epoki i sytuację w historii Benjamina. Atmosferę podtrzymuje muzyka.

Koliber to nie jest zwyczajny ptak (...)porusza skrzydłami osiemdziesiąt razy na sekundę. Gdyby przestał, umarłby w dziesięć sekund.

Przekleństwa niewinności

Artykuł autorstwa Artura Lisińskiego

Przekleństwa niewinności to film Sofii Coppoli („Między słowami”) będący dobrym obrazem poruszającym wiele tematów z zakresu dojrzewania młodzieży. Centrum historii stanowi rodzina Lisbon, którą tworzyła piątka niebywale pięknych córek i zaburczy rodzicce. Narrator komentuje następujące po sobie wydarzenia z dużej perspektywy czasowej, znając już tragiczne zakończenie tej opowieści – co jest zresztą moim zdaniem bardzo ciekawym zabiegiem twórców. Historia przekazywana jest widzowi przez czwórkę chłopców mieszkających w niedalekim sąsiedztwie. Film zaczyna się od nieudanej próby samobójczej najmłodszej z sióstr Lisbon, Cecylii, która jest, co by tu nie ukrywać, osobą interesującą. Prowadzi ona swego rodzaju pamiętnik, z którego to dowiadujemy się prawdy o jej prywatnych odczuciach, zwyczajach w domu Lisbon oraz częściowo o jej siostrach. Pani Lisbon jest osobą pobożną oraz nieco rygorystyczną wobec swoich dzieci. Pan Lisbon jest nauczycielem matematyki w pobliskiej szkole, będącym wiecznie w świecie swoich pasji: lotnictwa i sportu.

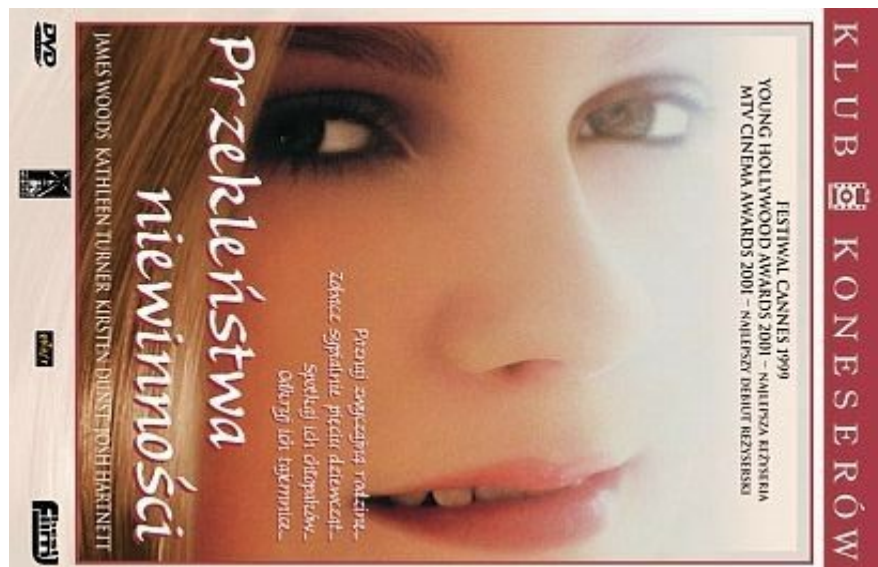
W domu panuje szereg zasad normujących życie dziewczyn, czego konsekwencją jest praktycznie brak kontaktu z rówieśnikami płci przeciwnej. Jednak żelazne zasady zostają nagięte w momencie, gdy rodzina wydaje przyjęcie, na którym zresztą wyżej wspo-

mniani chłopcy zapoznają się z bohaterkami. Przyjęcie kończy się samobójstwem Cecylii. Od tego momentu dramat rodziny Lisbon staje się często wykorzystywany jako temat do plotek przez sąsiadów, pod fałszywą maską wyrażania współczucia. Nawet ksiądz, który przyszedł, aby porozmawiać, swoją niezbyt udaną wizytę podsumował mówiąc do pani Lisbon, że „uważa to samobójstwo za wypadek”, co najwyraźniej miało być słowem otuchy.

Reżyser wyraźnie krytykuje zachowanie telewizji, która poprzez „robienie materiału” i skrajną dociekliwość jest wręcz okrutna. Tło tego nieszczęścia jest ogniwem uruchamiającym napływ programów informujących o problemie samobójstw wśród ówczesnej młodzieży. Mniej więcej w tym momencie pojawia się scena, która mi przysłowiowo „wpadła w oko”. Mianowicie dziewczyna opowiada w telewizji o tym, jak chciała się zabić, jedząc tort z trutką na szczury, jednak przez przypadek wynikający z natury łasucha jej babci, tego dnia umiera ktoś inny. Wyszczególnione jest działanie opinii publicznej, które przez samo złe pojmowanie problemu jest niewłaściwe. Mam tu na myśli apel w szkole, w którym to osoba zabierająca głos podaje cechy kogoś, kto chce popełnić samobójstwo i bardziej skupia się na kolorze rozdawanych broszur niż na prawdziwej pomocy.

Paradoksalnie wszystko po upływie zaledwie kilku tygodni wraca do porządku dziennego i nikt już nie pamięta o Cecylii. Dziewczyny chodzą do szkoły, jak gdyby nic się nie stało, nadal są obiektem pożądania wszystkich męskich uczniów. W Lex zakochuje się, uznawany za najatrakcyjniejszego chłopaka w szkole, niejaki Trip. Początkowo nie jest nim zainteresowana, jednak po niedługim czasie przywiązuje się do niego. Trip postanawia zaprosić ją na bal wraz z jej siostrami. Po rozmowie z panem Lisbon i zgodzeniu się na kilka warunków otrzymuje zezwolenie. Trip i Lex zostają wybrani królem i królową balu, a następnie, będąc pod wpływem alkoholu i marihuany, dają upust swojej szaleńczej miłości na szkolnym boisku. Gdzie zresztą Lex zostaje sama, wynikiem zaistniałej sytuacji był jej powrót po długo wyznaczonym czasie. Konsekwencje tego są straszne, bowiem wszystkie córki zostają całkowicie odizolowane od świata poprzez zabarykadowanie w domu i nie chodzą nawet do szkoły. Uważam, że ta kara ze strony rodziców była desperacką próbą, aby uczynić je bezpiecznymi, chociaż tak naprawdę właśnie tym doprowadzili do końcowej tragedii.

W czasie gdy siostry są odcięte od świata, nawiązują kontakt za pomocą liścików, alfabetu Morse’a i puszczonej muzyki przez telefon z chłopcami z naprzeciwka, którzy



wcielili się w rolę narratorów. To właśnie oni, zaproszeni wcześniej przez dziewczyny, odkrywają, co się tak naprawdę wydarzyło.

Film ten opowiada bardzo ciekawą historię, splatając wątek nieszczęśliwych i uwięzionych przez liczne zakazy sióstr oraz szaleńczo zakochanych w nich

chłopców. Zdjęcia Edwarda Lachmana oraz muzyka, której autorem był Jean-Benoît Dunc-
kel, niemalże idealnie pasują jako tło filmu o podanej tematyce. Gra aktorska stoi na wysokim poziomie. Warto dodać, że film powstał na podstawie powieści o tym samym tytule, autorstwa Jeffreya Eugenidesa, co było zadaniem trudnym, ale wykonanym z powodzeniem. Każdy może wysnuć własne przesłanie a ilość celowych nie-
domowień i poruszanych kwestii pobocznych sprawia że ten film w moim osobistym odczuciu jest bardzo szczególny i wyjątkowy. Dlatego gorąco polecam i zachęcam do obejrzenia.

Millennium. Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet

Artykuł autorstwa Michała Markiewicza

O trylogii *Millennium* było/jest w ostatnim czasie całkiem głośno. Larsson stworzył coś bardzo przyzwoitego, ale raczej nie wybitnego. Myślę, że jego gwiazdka zgaśnie równie szybko jak zabłysła.

Do rzeczy. Dzieło Larssona jest i ciekawe, i interesujące, i wciągające. Mimo wszystkich zalet i odczuć po przeczytaniu 1. części nie wydaje mi się, żeby jego nazwisko wbiło mi się w pamięć na dłuższy czas. Nie, nie mam zamiaru się nad tym rozczulać. Od początku. Moją uwagę przykuł świetny, lekko zaczepny tytuł. I okładka. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem „Mężczyzn...” wydawało mi się (błędnie), że to dramat. Historia człowieka prowadzącego podwójne życie,

mającego dwa (a może i więcej) oblicza. Już w tym momencie postanowiłem, że ją przeczytam, choćby dlatego, żeby sprawdzić/potwierdzić swoje przypuszczenia. Chociaż treść książki odbiega od moich początkowych wyobrażeń na jej temat, nie mogę powiedzieć, że jestem zawiedziony czy niezadowolony po przeczytaniu. *Millennium* to nie dramat, a kryminał. Larsson trzyma w napięciu (przynajmniej mnie, chociaż znam kogoś, kto rozpracował go po przeczytaniu 200 stron. Książka liczy ich 640), wciąga i uzależnia. „Mężczyźni...” spełniają wszystkie wymagania, jakie spełniać powinien każdy dobry kryminał. Czasami wieje grozą, czasami bohaterowie czytelnika przerażają, zaskaku-

ją. Książka na pewno warta polecenia. Ja odebrałem ją bardzo pozytywnie. Mnie Larsson nabrał. Dopiero w końcowej fazie książki „rozgryzłem” zagadkę... Właściwie odpowiedź została mi podana na tacy, ale wolę oszukiwać się, tj. myśleć, że wpadłem na rozwiązanie sam.

Rok 1966, znika 16-letnia Harriet Vanger. 40 lat później dziennikarz Mikael Blomkvist dostaje zlecenie od jednego z członków jej rodziny. Ma rozwiązać zagadkę – odpowiedzieć na pytanie, co stało się z młodą dziewczyną. Zleceniodawca – Henryk Vanger jest bogatym właścicielem potężnego rodzinnego koncernu. Mikael, początkowo sceptyczny, ostatecznie zgadza się podjąć próbę rozwiązania zagadki. Kil-

ka dni wcześniej został skazany przez sąd półroczną karą więzienia, a także obarczony wysoką grzywną – napisał artykuł, w którym oskarża rekina giełdowego o nielegalne interesy i zarzuca mu kradzież publicznych pieniędzy. Dokumenty, na podstawie których dziennikarz opisał przestępczą działalność Wennerstroma, okazały się spreparowane. Henryk Vanger oferuje Blomkvistowi wysokie zarobki, a także – co jest bardziej istotne dla upartego Mikaela – cenne informacje, które pomogą mu ostatecznie dopaść Wennerstroma. Blomkvist znika z życia publicznego. Rezygnuje z pracy w redakcji. Opuszcza Sztokholm. Postanawia odkryć prawdę o zaginionej dziewczynie. Po pewnym czasie dołącza do niego Lisbeth Salander, hackerka i outsiderka.

Stieg Larsson zebrał u mnie więcej plusów niż minu-

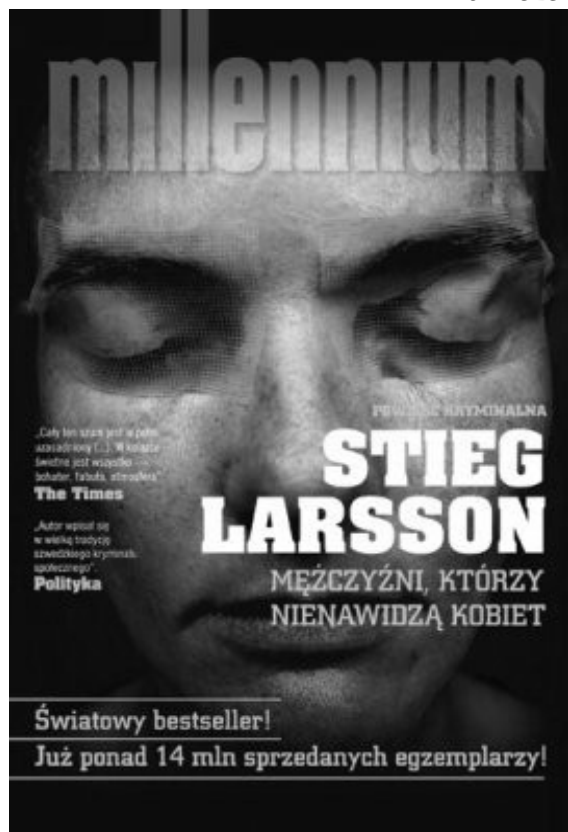
sów. Mimo tego, jest w książce kilka szczegółów i szczegółików, które są na wpół dziwne i niezrozumiałe. Mikael Blomkvist i jego podboje miłosne. Wieloletni romans z przyjaciółką ze studiów. Erika jest od lat zamężna, ale podwójne życie nie przeszkadza ani jej, ani jej mężowi, który o Blomkviście wie, ale akceptuje go, nie robi z tego powodu żadnych wyrzutów. Ba, zaprasza dziennikarza nawet na święta! Gdy Erika chce być z mężem, zostaje z mężem, a od czasu do czasu przeprowadza się na krótko do Mikaela. Blomkvist i Erika to nie wszystko. Spotkanie numer dwa dziennikarza i Cecylii Vanger kończy się w łóżku. Ich romans przeciąga się, aż któregoś popołudnia przypadkiem nakrywa ich Erika. Uśmiecha się, przeprasza i wychodzi zrobić śniadanie. Jeszcze nie koniec. Mikaelowi udaje się uwieść Lisbeth Salander.

Dziewczynę, która nie jest otwarta na nowe znajomości. Typowy aspołecznik. Jest agresywna, łatwo ją zdeenerwować, często nie miła, a przy jakiegokolwiek próbie porozmawiania na osobiste, prywatne sprawy zamyka się i złości. Mikaelowi jednak ulega. Po krótkiej, delikatnej kłótni Lisbeth... wskakuje mu do łóżka. Zaskakują 2 rzeczy: pierwsza – całkowicie bierna postawa Mikaela, druga – bardzo liberalne podejście do życia, seksu. Uwodzić to znaczy działać,

Blomkvist natomiast nie robi nic, żeby pójść ze spotkanymi kobietami do łóżka. Sprawy same przybierają taki obrót, a dziennikarzowi bliżej do zdobyczy niż łowcy.

Piszę o tym, co mnie zaskoczyło w tej książce. Taka recenzja może pewną część odstraszyć od Larssona, a tego zrobić bym nie chciał. Na „usprawiedliwienie” *Millennium* wrażliwszym czytelnikom mogę powiedzieć, że to jedyne odbiegające od norm społecznych zachowanie, które nie wszystkim może się spodobać. Poza tym, trochę wyrozumiałości nie zaszkodzi, to książka. Świat Larssona, świat wyobraźni – nie musi być do końca jasny, precyzyjny, rozsądny czy nawet zrozumiały. Ważne, że jest inny od tego naszego, który mamy w głowie. Podsumowując: bardzo przyjemna książka, zaskakująca. Z małymi „ale”, chociaż w ostateczności bez większych zgrzytów. Larsson tworzy ciekawą postać Lisbeth Salander, której działania nie są do końca zrozumiałe, ale czytelnik siedzi w jej głowie, zna myśli dziewczyny i dzięki temu darzy postać sympatią. Często już tak jest, że kierujemy ją na bohaterów (filmowych, książkowych) wykołajonych, wypaczonych i takich, na których w życiu codziennym albo nie zwrócilibyśmy uwagi, albo nie wywarliby na nas pozytywnego wrażenia.

A film na podstawie powieści? No cóż... Nie wszystko złoto, co się świeci. Książka to pozłacany wyrób ponadprzeciętnej jakości. Ekranizacja „Mężczyzn...” to już produkt niższej klasy. A szkoda. We-



dług mnie kłapa. Nie totalna, ale dużo do niej nie brakowało. Dla mnie słabe i niekompletne, a nawet trochę fałszywe przeniesienie książki na duży ekran, ale opinię warto wyrobić sobie samemu, bez względu na to, jakie komentarze o danym filmie usłyszymy. Jedną z większych wad tego produktu to aktorzy. Konkretnie: wygląd... No cóż, pewnych rzeczy ukryć się nie da nawet pod kilogramami pudru i innych cudownych wynalazków maskujących nasze niedoskonałości. Aktor jest zarówno od grania, jak i wyglądu – jak już na niego/nią patrzę, to ma być ładny i koniec. Larsson nic o brzydocie nie wspominał. W ogóle nie skupiał się na wyglądzie, nie

opisywał go, a mimo to czytelnik ma wrażenie, że bohaterowie pierwszoplanowi od greckich bogów różnią się niewiele. Mikael – 40 latek, do którego dobiera się każda napotkana na drodze kobieta. Erika – pani z wyższych sfer. O ile z Eriką nie jest najgorzej (jej twarz na ekranie przewija się przez 15 sekund w ciągu 150 minut), o tyle Mikael przeraża i straszy. Na forum internetowym komuś skojarzył się z Andrzejem Gołotą. Dla mnie to przesada, ale twarzą boksera może (?) się pochwalić. Specjalistą od oceny urody męskiej z pewnością nie jestem i raczej nigdy nie będę, ale mam nadzieję, że w następnych dwóch odsłonach niektórzy aktorzy wyładnieją.

Chociaż drobna trauma i rysa na psychice zawsze pozostanie. Film jest bardzo mocno okrojony, wiele wątków pominiętych, część przeinaczona. Zgodności z książką odmówić nie można, ale niesmak pozostaje. Oczywiście trzeba wziąć poprawkę na to, że książka ma ponad pół tysiąca stron, a film – mimo że poruszono w nim tylko główne wątki – trwa i tak grubo ponad dwie godziny. Mimo wszystko zasada jest prosta: Jeśli najpierw obejrzysz film, do książki nie wrócisz, czytelniku, na pewno.

Prawdziwa historia Troi

Artykuł autorstwa Pawła Bałdygi

Jesteście pewni, że znacie dobrze greckie mity? Nic bardziej błędnego! Czy Odyseusz to wspaniały heros, który przetrwał atak syren? Skądże!

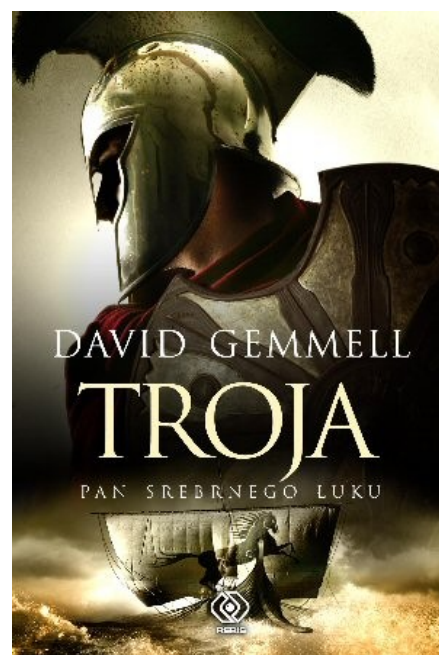
„Troja” autorstwa Davida Gemmela zabierze was w świat tak dokładnie analizowany na lekcjach języka polskiego, a jednak skrywający wiele sekretów, tajemnic. Pisarz pokazuje świat starożytnej Grecji, skupiając się na psychologizacji kolejnych postaci. Helikon, główny bohater, ma wszelkie cechy, które ludzie posiadali, posiadają i posiadać będą. Potrafi kochać, ale nie waha się zabić, współczuje, ale jednocześnie bywa bezlitosny.

Postaci „Troj” są niezwykle dopracowane, żyją na

kartach powieści i dają nam komfort „bycia” wśród nich, w środku akcji. A jednocześnie odwracają schemat, ich wizerunek bywa co najmniej mało przewidywalny. Wszyscy na przykład znamy postać Odyseusza – zawsze wydawało nam się, że to wspaniały dowódca i wytrwały w dążeniu do celu piękny żeglarz. A tu nagle okazuje się, że to drobny oszust i kanciarz. Ma wspaniały dar krasomówstwa i opowiadania niesamowitych historii, w które ludzie wierzą.

„Troja” jest wspaniałą opowieścią pełną zwrotów akcji, spisków, romansów i nawiązujących się przyjaźni. Gemmel stworzył dzieło, mimo tematyki bazującej na historii mitycznej, nie gorsze od niejednego kry-

minału. Przeczytajcie i poznajcie prawdziwą historię Troi.



Biedroneczką do Czech, czyli „Operacja Dunaj”

Artykuł autorstwa Rafała Szymańskiego

Historię oparto na prawdziwych wydarzeniach. W 1968 roku podczas inwazji – zdaniem niektórych przyjaznej interwencji – wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację zaginął legendarny polski czołg o wdzięcznej nazwie Biedroneczka.

Rok 1968, do jednego z polskich garnizonów stacjonujących na granicy polsko-czechosłowackiej dociera rozkaz o rozpoczęciu inwazji na niepokorną Czechosłowację. Wśród czołgów wyrusza najstarszy spośród nich – Biedroneczka. Wszystko będzie zgod-

nie z planem, dopóki Biedroneczka wraz z załogą nie zgubi się w głębokiej czeskiej prowincji, gdzie przez przypadek wjechali w jedną z gospód. Tak zaczęła się długa biesiada, która wydawać się nie miała końca, ze względu na gościnność naszych południowych sąsiadów, którzy wbrew pozorom nie są nudni. Czas płynie Czechom na plotkowaniu i piciu piwa, są sympatyczni, choć początkowo traktują Polaków jak najeźdźców. Ale wraz z rozwojem akcji, tempa nabierają również relacje damsko-męskie. Kome-

dii nie brak czarnego humoru, humoru sytuacyjnego oraz zabawnych dialogów. W filmie znajdują swe odbicie mentalność Czechów i Polaków i przyczyny wzajemnych animozji. „Operacja Dunaj” okraszona jest kreacjami aktorskimi znanych aktorów np. Zbigniewa Zamachowskiego i Macieja Stuhra. Film wartý obejrzenia, jest to opowiedziana z humorem wariacja na temat dziwnego zniknięcia czołgu Biedroneczka.

Koszykówka. Fatalny występ Płońsk

Artykuł autorstwa Kaspra Pawłowskiego

Dnia 19.02.2010 r. w Mławie odbyły się Mistrzostwa Rejonu Szkół Ponadgimnazjalnych w koszykówce chłopców. Udział wzięło sześć drużyn reprezentujących następujące powiaty:

Powiat Ciechanowski – ZS 2 Ciechanów

Powiat Mława – I LO Mława oraz LO Strzegowo (dwa zespoły ze względu na to, że Powiat Mławski w tym roku był gospodarzem)

Powiat Płoński – I LO Płońsk

Powiat Pułtusk – LO Pułtusk

Powiat Żuromiński – ZSP Żuromin

Mecze rozegrano w dwóch grupach. Zespoły, które zajęły w grupie pierwsze miejsca, grały o miejsce 1., te, które zajęły miejsca drugie, grały o miejsce 3., zaś ostatnie z grup „mogły jechać do domu na kawę” – jak stwierdził na odprawie nasz trener – Wiesław Kalman.

Grupa nr 1:

I LO Mława
I LO Płońsk
LO Pułtusk

Grupa nr 2:

ZS nr 2 Ciechanów
LO Strzegowo
ZSP Żuromin

Pierwszy mecz zawodów miał rozegrać Płońsk z Mławą. Jak

zwykle – rozgrzewka, trochę obserwacji przeciwnika, odprawa i gramy. Teoretycznie trafiliśmy do najłatwiejszej grupy, ale jak to zwykle bywa i tak nie dało to zbyt wiele. Przeciwnik był pewny siebie (w końcu chłopcy byli na własnym placu), jednak mimo to mogliśmy powalczyć. Początek nie należał do zbyt udanych. Od pierwszego gwizdka zaczęliśmy przegrywać. Straciliśmy kilka punktów pod rząd, jednak później powoli je odrabialiśmy. Po pierwszej połowie przegrywaliśmy sześcioma, ale widać było, że mamy jeszcze szanse. Przewaga Mławy się zmniejszała, jednak strat nie udało się odrobić. Cóż, moim zdaniem zawiodła ofen-



sywa. W pierwszej połowie, jakby nigdy nic, graliśmy „podwórkową koszykówkę”, która nic dobrego nie wniosła. Choć defensywa też pozostawiała wiele do życzenia... Ostatecznie mecz zakończył się wynikiem 21:19.

Następny mecz rozegrały drużyny z grupy 2 (Ciechanów – Strzegowo). Faworytem był Ciechanów, jednak strzegowiaczy dali o sobie znać. Końcowy wynik: 23:16 dla ZS nr 2.

Potem przyszedł czas na nas. Mieliśmy zapomnieć o tym, co działo się w poprzednim meczu, wyjść na tzw. świeżości. Tak też się stało, ale już po minucie zorientowaliśmy się, kto jest lepszy. Graliśmy z Pułtuskim – zespołem, który jeszcze rok temu się nie liczył, teraz jednak wiedział, co to znaczy grać prawdziwy basket. Pierwszą połowę przegraliśmy różnicą aż 16 punktów. Nie wychodziło nam nic. Ani obrona, ani atak – niszczyli nas. W drugiej połowie, po kilku zmianach, już trochę lepiej, ale nadal źle. Nikt już nie wierzył, że można coś zdziałać. Końcowy wynik: 34:13

dla Pułtuska. Po tym meczu mogliśmy się spakować i wrócić do domu. Dla nas zawody się skończyły.

Ostateczne wyniki:

I miejsce – ZS 2 Ciechanów

II miejsce – LO Pułtusk

III miejsce – LO Strzegowo

IV miejsce – I LO Mława

V/VI miejsca – ZSP Żuromin/I LO Płońsk

Obraz całego turnieju:

1. I LO Mława –

I LO Płońsk **21:19**

2. ZS 2 Ciechanów –

LO Strzegowo **23:16**

3. LO Pułtusk –

I LO Płońsk **34:13**

4. ZS 2 Ciechanów –

ZSP Żuromin **18:13**

5. LO Pułtusk –

I LO Mława **30:13**

6. LO Strzegowo –

ZSP Żuromin **38:11**

7. LO Strzegowo –

I LO Mława **27:24**

8. ZS 2 Ciechanów –

LO Pułtusk **37:30**

Testy, testy i po testach

Artykuł autorstwa Krystiana Grzelaka

Kiedy tylko wchodzę na **legia.com** i widzę wiadomość o opuszczeniu zgrupowania przez jakichś testowanych zawodników wypełnia mnie dziwne uczucie. Nie wiem czemu, ale zupełnie szczerze robi mi się żal. Żal, że ci gracze nie dostali trochę więcej szans. I tak się zastanawiam, w jakim stopniu możliwe jest ocenienie przydatności danego piłkarza do drużyny po kilku, no, ewentualnie kilkunastu dniach treningów?

Myślę sobie - oho, taki wyjazd z obozu przygotowawczego, jak chociażby w przypadku Ghady'ego czy Tutoricia, w zdecydowanej większości przypadków sprawia, że zawodnikowi już nigdy więcej nie będzie dane przywdziać trykotu drużyny, w której miał szansę zagrać. Został odrzucony, skreślony, pozostawiony na lodzie. I tak siedzę, i się zastanawiam, dumam i rozmyślam - a co będzie, jeśli taki Kassenu za kilka tygodni trafi do mocnej europejskiej drużyny i zacznie podbijać tamtejsze stadiony, a Legia znowu będzie pluła sobie w brodę, że puściła tak dobrego piłkarza? Każdy z nas, kibiców Legii, boi się takiej sytuacji, wspominając przy tym Bernarda Parkera, hasającego po murawie w barwach FC Twente podczas meczów z Ajaksem czy Feyenoordem. W głowach nadal mamy eliminacje do tegorocznej edycji Ligi Mistrzów, kiedy to bramki Nikity Andriewaja, któremu podziękowano

po kilku dniach treningów na siłowni, wyeliminowały krakowską Wisłę z tych rozgrywek. **Boimy się sytuacji, kiedy prawdziwy piłkarski diament znów wymknie nam się z rąk** i odpłynie tak daleko, że nie będziemy mieli szansy uchwycić go ponownie. A wszystko to tylko dlatego, że podczas testów nie pokazał pełni swoich umiejętności.

No właśnie, zastanówmy się, czy testy są dobrym wyznacznikiem możliwości danego gracza? To przecież kilka dni, podczas których piłkarz trafia przeważnie do zupełnie nowego miejsca, zupełnie innych, nieznanym mu ludzi, wie, że znajduje się pod ogromną presją, ma świadomość, że **każdy fałszywy ruch może doszczętnie przekreślić jego szansę**. Wiadomo, niektórym to pomaga, innym przeszkadza, jednak pewne jest to, że taka sytuacja ma wpływ na ich postawę. Gdzie czas na aklimatyzację? Gdzie czas na zgranie z zespołem, poznanie reguł, obyczajów i zasad klubu? I, przede wszystkim, gdzie czas na rozwinięcie skrzydeł? Chyba tylko piłkarski Antonio Vivaldi byłby w stanie z miejsca, podczas testów, zacząć odgrywać pierwsze skrzypce w nowej ekipie. Przecież każdy człowiek jest inny i każdy potrzebuje więcej lub mniej czasu na przystosowanie się do nowych warunków - nieważne, czy jest to praca, szkoła, miejsce czy może sytuacja. Właśnie z tych powodów troszkę

boję się, że zbyt pochopnie zrezygnowano z Tutoricia, wcześniej "Mahatmy" i "Nurka", a pewnie niedługo usłyszymy, że i Mujanović albo Moyo nie przekonali do siebie sztabu szkoleniowego. Zresztą wcale nie możemy być pewni, czy i obecny obóz nie jest ostatnim dla przesympatycznego Donga. Czytam, że u Chińczyka szwankuje przygotowanie fizyczne. Wydaje mi się, że przecież właśnie teraz jest czas na to, aby to poprawić, ulepszyć i doprowadzić do dobrego stanu. Że były piłkarz „Czerwonych Diabłów” potrafi grać w piłkę, pokazał już w karierze kilka razy. Że bramki strzelać potrafi, udowodnił to i w Chinach, i w Belgii. Bardzo smutno byłoby czytać za kilka... hmm... kto wie, może miesięcy, może lat, że sympatyczny "Gong" **pakuje bramkę za bramką** w klubie o podobnej renomie jak Legia, nasza Legia. I tak sobie czasem myślę - a może warto by zaryzykować jeszcze raz, ten jedyny raz?

Z drugiej jednak strony nie mogę znieść tego wieszania psów na trenerze Urbanie. Śmieszy mnie trochę fakt, że masa fanów Legii, siedząc wygodnie przed monitorem i popijając herbatkę/piwko/Coca-Colę (niepotrzebne skreślić), **zgrywa wybitnych fachowców** i wystawia na temat testowanych szczegółowe cenzurki na podstawie relacji i filmików z Hiszpanii. Trochę przypomina mi to sytuację, kiedy w rundzie je-

siennej pod dużym ostrzałem kibiców i mediów znalazł się Marcin Mięciel, którego grę oceniano na podstawie skrótów z "Szybkiej piłki" albo "Ligi +", a nikomu nie chciało się dostrzec niebywalej mądrości gry, skutecznej gry bez piłki i nadzwyczajnej, jak na polskie warunki, inteligencji boiskowej "Miętowego". A gdyby nie patrzeć tylko na suche statystyki i poobserwować tego gracza z wysokości trybun, opinia byłoby prawdopodobnie zgoła inna. Podobnie jest właśnie z testowanymi. A prawda jest taka, że to właśnie Jan Urban przebywa z tymi piłkarzami po kilka godzin dziennie, stale ich podgląda, obserwuje i stara się ocenić jak najdokładniej. I nawet, gdybyśmy rozegrali kilkadziesiąt sezonów w Football Managerze, wygrywając z Legią Ligę Mistrzów, a reprezentacją Pol-

ski triumfując w Mundialu, to nie uczyni z nas zawodowych menedżerów, którzy rzeczywiście znają się na wykonywanej przez siebie robocie. Pojawiają się głosy, żeby najlepiej od razu zakontraktować cały komplet testowanych, postawić wszystko na jedną kartę. Naprawdę sądzicie, że Urban o tym nie pomyślał? Jestem pewien, że tak było, tyle tylko, że **to on, a nie ja lub Ty, będzie z tego rozliczany** i to on, a nie żaden z kibiców, bierze odpowiedzialność za swoich piłkarzy. Pamiętacie Tito? Pamiętacie "Arru" i Descargę? Albo Balde - jego też pamiętacie? No właśnie, w ich przypadkach zaryzykowano, zdecydowano się wziąć ich w ciemno, a jak się skończyło... wiemy wszyscy. Dlatego właśnie z tej drugiej strony rozumiem sztab, który jest bardzo ostrożny w pozyskiwaniu no-

wych zawodników. Rozumiem albo raczej staram się zrozumieć, bo podobnie jak każdy kibic, chciałbym mistrzostwa, a doskonale sobie zdaję sprawę, że bez wzmocnień będzie o nie ciężko. Naprawdę ciężko.

Nie chcę narzucać Wam swojego zdania, bo mam wątpliwości, co byłoby najlepsze. Być może ten tekst spowodował, że niektórzy spojrzeli na temat testów nieco inaczej, być może niektórzy przejdą obok niego obojętnie, a jeszcze inni, nie zapoznając się uprzednio z jego treścią, tak dla zasady zarzucą mi stronniczość. Nie wiem, naprawdę nie wiem. Chciałbym jednak poznać Waszą opinię na poruszony przeze mnie wątek, dlatego gorąco **zachęcam do dyskusji** i przedstawienia swojego zdania.

Legia.com

Futbolowe emocje wracają na ligowe boiska

Artykuł autorstwa Krystiana Grzelaka

Chyba każdy z nas zdążył zażęknąć za rodzimymi zawodnikami, których mimo wszystko darzymy ogromną sympatią. I choć często narzekamy na poziom polskiej piłki, nierówne murawy i nieudolnych sędziów, to tak w głębi serca po zimowej przerwie z niecierpliwością oczekujemy na wznowienie rozgrywek.

Podobnie jak każdy fan naszej piłki kopanej, już nie mogę doczekać się momentu, kiedy z tunelu na stadionie przy Łazienkowskiej zaczną wyłaniać się blond czupryna Kubo Rzeźniczaka, zawsze skoncentrowa-

na twarz Bartłomieja Grzelaka czy wielki uśmiech Donga. Po takiej dwumiesięcznej przerwie kibice pełni nadziei i wiary w swoich ulubieńców powrócą do śledzenia z zapartym tchem ich ligowych poczynąń, aby wspólnie ekscytować się kolejnymi zwycięstwami i smucić meczami, w których graczom powinno się noga. Ostatnie tygodnie obfitowały jednak w niemałe emocje ze względu na okres przygotowań i okienko transferowe, podczas którego miało miejsce wiele ciekawych zdarzeń. Spróbujmy więc nieco podsumować miniony czas i zastanowić nad tym, czego możemy spodzie-

wać się podczas najbliższych kilku miesięcy.

Na pierwszy ogień weźmy może to, co najprzyjemniejsze. Hity transferowe od zawsze elektryzowały kibiców piłki nożnej i niewątpliwie takowymi swoich fanów uraczyły zespoły rywalizujące o tytuł mistrzowski. Mam tu na myśli, rzecz jasna, Legię Warszawa i Lecha Poznań. To właśnie one sprowadziły dwa najgorętsze nazwiska tej zimy - **Sergieja Kriwieca i Donga Fangzhuo**. Białorusin był największą gwiazdą BATE Borysow, zawodnikiem, który w Lidze Mistrzów nie tylko

grał, ale także zdobywał bramki. W "Kolejorzu" z miejsca zyskał status gwiazdy, a jego współpraca z Semirem Stilićem zaowocowała fantastycznym odrodzeniem Bośniaka. Teraz druga linia poznańskiej ekipy prezentuje się naprawdę doskonale i niewątpliwie ciężko będzie zatrzymać ją na wiosnę. Z kolei Dong to przesympatyczny Chińczyk, który w swojej karierze zaliczył epizod w wielkim Manchesterze United, a teraz ma nadzieję podbijać nasze rodzime boiska z "eLką" na piersi. W sparingach "Gong" był najjaśniejszym punktem "Wojskowych" i jego postawa napawa optymizmem. Miejmy nadzieję, że nie jeden raz będzie nam dane szaleć po fenomenalnych strzałach z dystansu czy minięciu kilku rywali z piłką przy nodze. Jedno jest pewne - Fangzhuo stanie się wielkim ulubieńcem kibiców stołecznej drużyny, bo niespotykany optymizm bije od niego na kilometr. Przed Chińczykiem jednak trudne zadanie, gdyż w Warszawie wszyscy wyczekują na niego jak na Mesjasza, więc Dong będzie pod ogromną presją ze strony kibiców, mediów i

pewnie też kolegów z boiska. W każdym razie wierzymy i liczymy na Ciebie - do boju, "Gong"!

Kilka głośnych transferów, lecz na nieco mniejszą skalę, poczyniła też Odra Wodzisław Śląski, która przez wielu została uznana za królową zimowego polowania. To właśnie w barwach tej drużyny po ligowych boiskach hasać będą piłkarze tacy, jak **Brasilia** (dawniej Wisła Kraków), **Mauro Cantoro** (jeden z symboli ostatnich lat w "Białej Gwiazdzie") czy też **Arkadiusz Onyszek** (słynny polski skandalista z Danii). To ci, a także kilku innych zawodników, mają zapewnić Odrze bezpieczny byt w najwyższej klasie rozgrywkowej w naszym kraju. Nie ukrywajmy - mają na to dużą szansę, bo bez dwóch zdań wybijają się ponad szarą przeciętność i prezentują nienaganne umiejętności. Ponadto to twardzi faceci, którzy w odpowiedniej sytuacji nie zawahają się przed krzyknieniem na młodszych kolegów, aby zmotywować ich do lepszej gry. Moim zdaniem wodzisławianie zrobili wszystko, aby osiągnąć

zamierzony cel i powinno im to się udać.

Popularne twarze nie tylko pojawiały się w naszej lidze, ale także ją opuszczały. Jeśli mógłbym wskazać trzy najciekawsze

nazwiska, które pożegnały się z Ekstraklasą, to bez większego namysłu postawiłbym na **Edsona**, **Carlosa Costly'ego** i **Hernana Rengifo**. Dobrze znany kibicom Legii Brazylijczyk zaliczył drugą przygodę z polską piłką, ale tym razem niestety całkowicie nieudaną. W Koronie Kielce nie rozwinął skrzydeł na tyle, aby ponownie osiągnąć status gwiazdy, jak to miało miejsce w Warszawie, więc zdecydował się na powrót do ojczyzny. Tym razem już chyba na stałe. Jeśli chodzi natomiast o Hondurańczyka, to mam wrażenie, że mimo całkiem przyzwoitej gry w Belchatowie, nie pokazał on pełni swoich umiejętności. To w końcu finalista najbliższych Mistrzostw Świata w RPA i podczas gry w narodowych barwach było widać w jego grze prawdziwy błysk, którego brakowało w GKS-ie. Teraz zdecydował się na przeprowadzkę do rumuńskiego FC Vaslui, w którym ma nadzieję należycie przygotować się do mundialu. Hernan Rengifo to zawodnik, którego odejścia chyba szkoda najbardziej. Doskonały ligowy snajper, który w Lechu z Robertem Lewandowskim stworzył jedną z najlepszych formacji ofensywnych w Polsce, po zesłaniu do zespołu z Młodej Ekstraklasy w końcu spełnił swój cel i opuścił "Kolejorza". Teraz piłkarz, którego z otwartymi ramionami bez wątpienia przegarnąłby każdy klub w Polsce, ma nadzieję na sukcesy odnoszone na Cyprze w Omonii Nikozja.

Mało szumu medialnego towarzyszyło w ostatnim czasie obecnemu liderowi tabeli i mi-





który po długich testach w Krakowie ostatecznie przekonał działaczy i został następcą Mauro Cantoro.

Coraz bardziej hiszpańska staje się Polonia Warszawa. Po zatrudnieniu

strzowi Polski, drużynie Wisły Kraków. Krakowianie nie zdecydowali się na wielkie nazwiska, nie oddali do innego klubu żadnego znaczącego zawodnika, a brukowce oszczędziły spekulacji na temat przyścia do tego klubu Nwankwo Kanu czy Patricka Kluiverta, jak to bywało w ostatnich latach. Wisła nie szalała, ale na pewno działała z głową. Za sukces można uznać chyba koniec poszukiwań bramkarza, który wracał jak bumerang podczas każdego okresu transferowego. Wybór padł na... Marcina **Juszczyka**, który nie tak dawno "Wiślaków" opuścił. Teraz wraca podobno z większym doświadczeniem i gotowością do walki o bluzę z "jedyneką" z Mariuszem Pawełkiem. Oprócz niego w Krakowie zamieszka ponownie **Cleber**, niezwykle bramkostrzelny defensor, który pomógł krakowianom w wywalczeniu mistrzostwa, po czym przeniósł się do Tereka Grozny. Dziś ma zapewnić Wiśle spokój i stać się alternatywą dla niepewnej obrony. Warto tu wspomnieć też o **Issa Ba**, byłym zawodniku AJ Auxerre,

Jose Marii Bakero, teraz przyszedł czas na kolejne posiłki z Półwyspu Iberyjskiego. Były gwiazdor FC Barcelony zdecydował się przygarnąć pod swoje skrzydła wychowanka tego klubu, **Andreu Mayoralą**. Środkowy pomocnik, który ostatnio występował z Sportingu Gijon, to jednak niejedyne wzmocnienie "Czarnych Koszul". Poloniści postawili też na lekki powiew świeżości w sztabie szkoleniowym, dzięki czemu przy Konwiktorskiej pojawił się **Jon Bakero**, a więc brat pierwszego szkoleniowca warszawian, oraz **Luis Mila Villarroel**, którzy z miejsca stali się najbliższymi współpracownikami Jose Marii. Czy transfery z kraju mistrzów Europy zapewnią Polonii utrzymanie, a w przyszłości także walkę o mistrzostwo kraju? Tego dowiemy się dopiero na wiosnę.

Zbliżając się już do końca, chciałbym wspomnieć tylko o nieco mniej istotnych, aczkolwiek nadal wartych uwagi sprawach, które miały miejsce podczas zimowej przerwy. W Legii ostatnie tygodnie ponownie stały **pod znakiem testów**.

Na zgrupowaniach w Hiszpanii i na Cyprze pojawiło się w sumie sześciu zawodników, z czego jeden już na pewno zakotwaczy w Warszawie, nad drugim wciąż debatuje legijny sztab, a reszta nie przekonała sztabu do swoich umiejętności. Ponadto warto zwrócić też uwagę na niezbyt ciekawe **wyniki polskich zespołów w meczach sparingowych**. Żeby nie być gołosłownym, przytoczę tutaj sytuację Jagiellonii Białystok czy też Śląska Wrocław, które miały ogromne problemy z pokonaniem zespołów o teoretycznie niższej reputacji. Nie zapominajmy też o tym, że nie zachwyciła nasza Legia, która pokonała tylko jeden z zagranicznych zespołów, z którymi rywalizowała towarzysko. Miejmy jednak nadzieję, że to tylko pierwsze koty za płoty, a w ligowych zmaganiach legioniści doskonale sobie poradzą.

Okres przygotowawczy powoli dobiega końca, drużyny rozgrywają swoje ostatnie sparingi i finalizują transfery. Wiele ciekawego wydarzyło się w minionych tygodniach i ciężko przewidzieć, czego możemy spodziewać się w rundzie wiosennej. Czy Odra Wodzisław, wzmocniona wieloma uznanymi zawodnikami, wykaraska się z trudnej sytuacji? Kto zatriumfuje w Ekstraklasie - działająca cicho i spokojnie Wisła czy może stawiające na transferowe hity Legia lub Lech? Czyj talent błysnie w 2010 roku? **Zapraszam do dyskusji!**

Legia.com

Z pamiętnika nastolatki

Opowiadanie autorstwa Joanny Felczak

Odcinek 12.: Szaleństwa Niewiema

Niedziela, 6 maja

O nie! Ja znam te twoje bajery, robisz śliczne oczka i ja mam zmięknąć? NIEWIEM! Ty zmo-ro nocna! Ty przekłety, mały, wredny pies! Co z tego, że z nim wyszłam na długi spacer! Co z tego, że nogi mnie bo-lą i ledwo chodzę! Narobił na samiućkim środku kuchni! Takie już są niewdzięczne te małe psy...

Uczyłam się trochę, ale nie za dużo. Nie chce mi się wracać do szkoły. I tak nikogo, no może oprócz Bryski, nie interesowała moja choroba. Przestała interesować po odjeździe karetki ze mną w środku spod szkoły. Chociaż... Sorka Michałek też się zainteresowała... Nieod-daną książką! I jeszcze mi tu Damianka przysłała, jakby nie miała kogo. Ludzie, jacy wy jesteście dziwni, raz tacy, raz tacy.

Poniedziałek, 7 maja

No, nie doceniłam mojej szkoły! Nauczyciele pozwalali mi siedzieć na lekcji bez strachu przed pytaniem, żeby nie wywoływać stanu stresu. I do tego ta nowa bluzeczka, wszystkim się podobała oprócz Bryski... Ona zupełnie nie ma gustu. Nawet sorka Śmigalska zapytała mnie:

- Julita, już w porządku? - he-he, ma się to szczęście, nazwała mnie po imieniu. Kurczę, ze wszystkich niezwykłych zda-

rzeń mojego życia najbardziej niezwykle było omdlenie na historii właśnie, ciekawe dla-czego nie na innym przedmio-cie? Ale ja się wcale na los nie gniewam z tego powodu...

- Yyy... Tak pani profesor...

- No to... dzisiaj rozmawiamy o skutkach drugiej wojny światowej.

Moja klasa też się zachowała! Większość podeszła, zapytała o to, o tamto i nawet mi się to po-dobało.

Poszłam do biblioteki. Sorka Michałek:

- Co tam Cukierek?

- Hm... Ja chciałam spytać, czy...

- Czy długo jeszcze nie możesz wypożyczać książek? Tak? - uprzedziła moją myśl.

- No, w zasadzie tak.

- Cóż, kochanie. Właściwie to już możesz, spokojnie.

- To fajnie, eee...

- Czyżbyś chciała „Nowy, wspaniały świat”?

- Yyy... - pamiętała, że to moja ulubiona książka. To już jakiś postęp - nie tym razem, sorko.

- Oooo!

- Cemu zaraz „Oooo!”?

- No, to niespodzianka!

- Dlaczego? Nie, po prostu chcę...

- Ty tu nie możesz chcieć, ale poprosić!

- Więc poproszę o „Sen nocy

letniej”.

- Oho! Szekspir! No proszę pań-stwa!

- Czy sorka się dzisiaj na pewno dobrze czuje? - spytałam pod nosem.

- Nie, dziecko, ja się czuję wręcz wspaniale! - a już myślałam, że na mnie wrzaśnie.

Wzięłam książkę, ale jeszcze się cofnęłam.

- Sorko...

- No...

- A czemu sorka Damiana przysłała do mnie po tę książkę?

- Ja? - zrobiła zdziwiona minę, a po chwili nerwowo trząchnęła czupryną - a tak! Tak! Wysła-łam... Czemu? No, wiesz pe-wien maturzysta mnie prosił i...

- A Damian powiedział, że ją przetrzymałam...

- No, bo ten dzieciak to czasem chodzi taki zamyślony, przekre-cił wszystko i wtrącił swoje trzy grosze...

- Aha... Ale proszę mu nie mó-wić, że pytałam.

- Cemu?

- Cemu? - próbowałam coś szybko wymyślić, zaskoczyła mnie - bo... no, bo... po co? Zresztą, jak sorce tak bardzo zależy, to niech sorka mówi.

- No dobra, nie powiem mu - obiecała. I tak mu pewnie po-wie.

Zawsze marzyłam o psie.

Ale Niewiem to raczej wredna małpa. Chociaż już bym nie mogła bez niego żyć. Dzisiaj jednak moja kochana psina zachowała się wspaniale i z klasą i to dwa razy!

Otóż wyszłam z Niewiemem po szkole i spotkałam Wiołę. Piękna jak zwykle i wspaniała... Mój dobrze wychowany pies zaczął na nią niemiłosiernie szczekać, myślałam, że zaraz mi się zerwie ze smyczy.

- Zabieraj swojego kundla ty gargulcu! – gargulec... tak mnie nazwała ta czarownica...

- Spadaj Barbie! – to było w obronie własnej, obronie koniecznej. Obraziła się i poszła. Mój pies jest rasowy do jasnej... Anielki!

Potem wyszłam z Niewiemem do parku wieczorem. Jeszcze nie było aż tak ciemno. Na ławce oczywiście siedział Damianek z jakimś innym chłopakiem. Zagapiłam się i nie zauważyłam, jak Niewiem mi uciekł. W takich warunkach oświetleniowych, szukanie mojego drogiego czarnego pieseczka to jak szukanie igły w stogu siana. Zaczęłam wołać:

- Niewiem! Niewiem! – biegałam po całym parku jak głupia.

- Czego nie wiesz? – usłyszałam znajomy głos za plecami. Odwróciłam się, a Damian właśnie kucał i głaskał mojego psa.

- Aha! Niewiem! Znalazłeś mojego psa.

- To raczej on znalazł mnie – uśmiechnął się i wstał.

- Dzięki, szukam go po całym parku.

- No, sprytny z niego koleś.

- Strasznie... – roześmiałam się.

- Jak się pan wabi? – zwrócił się do Niewiema.

- Niewiem – odpowiedziałam.

- Hm... Mój kumpel też nie wie, jak się jego pies nazywa.

- Mój pies ma tak na imię właśnie, Niewiem.

- Aha... Trochę nietypowe.

- Wiem. Niewiem chodź tu! Zapnę cię! Trzeba wracać.

- Poczekaj – powiedział Damianek, wtedy podszedł do nas ten drugi. To był Wojtek.

- Ooo! No, proszę... – powiedział Blondyn.

- Co jest? – spytał z kolei Damian.

- Nic, nic – powstrzymał się od śmiechu Wojtuś.

- To mój kumpel, Wojtek – Blondyn podał mi rękę – a to Julita.

- Hej, ja już muszę lecieć – powiedziałam – biegam tu za nim już z pół godziny!

- No, to na razie – krzyknął Wojtek. Damian spojrzał i też poszedł, bez słowa.

Wróciłam do domu z głupim uśmiechem na twarzy. Mama oczywiście zauważyła:

- Coś ty taka zadowolona? – też się uśmiechała.

- Nic, zmęczyłam się. Niewiem mi uciekł.

- Ha, widziałam przez okno przypadkiem – taaa... przypadkiem. W moim słowniku nie ma takiego słowa.

Głupi uśmieszek to taka głupia rzecz, ale kurczę cieszy. Dobranoc.

Wtorek, 8 maja

Nie mogłam spać. Chyba wiadomo czemu. Zaczynam się martwić, że mnie coś wzięło. Och! Idę do szkoły!

Damiana dzisiaj w szkole nie widziałam. Tak jest zawsze, jak potrzebuję, to go nie widać, a jak nie chcę, to on jest.

Byłam w bibliotece! Och! Och! Jak ja nie cierpię sorki Michałek!

- I znów przetrzymałaś książkę...

- Przecież wypożyczyłam ją wczoraj.

- To po co przysłaś?

- Bo potrzebuję drugiej książki. Poproszę o „Boską Komedie”.

- Nie ma.

- Nie ma? Jak to? Wczoraj było jeszcze kilka egzemplarzy!

- Ale dzisiaj już nie ma. Proszę iść do biblioteki miejskiej.

Z sorką jest ja z klockami domino, nie wiesz, gdzie zahaczyłeś, a już się sypie.

Jestem niesłychanie szczęśliwa. To chyba przez mojego psa. A raczej na pewno przez mojego psa. Moje metody wychowawcze dały efekt. Nie będę się o nich rozpisywać. W parku było pełno ludzi, ale raczej cicho. To jest świetny czas na spacer, nawet z psem, szczególnie z psem. Dzisiaj nikogo nie spotkałam. To nic. Przecież to zupełnie nic nie znaczy.

Już wieczór, a ja prawie nie na bazgrałam. Jestem już zmęczona, idę spać.

Wiersz

Procedura

*czego państwo sobie życzą?
rozgrzeszenia, z naleśnikiem.*

i najlepiej czwórkę dzieci, wiatrak, wiosło, wątlą rzekę. koniecznie na południe. czego państwo sobie życzą? Rozgrzeszenia – bez pokuty, worek, mąka, wiatrak, wiosło.

*zgrzeszyłem. co sylabę
pot się przeciska
do pierwszego
szeregu.*

i najlepiej koło młyńskie, wiatr co wieje i nie zwiewa, mały pirat w małej rzece tak lekki, że go porwie w nieznany las, w nieznany wiatr, w młyńskie koło diabła życia.

*Spowiedź
ence mence
obcięła mi ręce
Bóg zapłaci*.*

włosy miej pod kapeluszem, by smutny bóg, który już tę rzekę przeszedł, nie mógł cię rozpoznać.

**cytaty – Tomasz Antosiewicz*

-Paulina Chyl

Z ostatniej chwili

Anna Maria Wesołowska

Dnia 23.02.2010 naszą szkołę odwiedziła znana osobistość – Anna Maria Wesołowska – sędzia i gwiazda telewizyjna. Jawiła się nam głównie jako poważna kobieta w todzie ze znanego programu. Ale gdy tylko weszła do auli szkolnej, nasze wyobrażenie uległo zmianie. Najpierw pojawiły się szpilki, potem smukła sylwetka, która w telewizji zawsze była skrywana pod szeroką togą. Lecz to nie było jedyne pozytywne zaskoczenie...

Sędzia, ku naszemu zdziwieniu, nie mówiła skomplikowanym prawnym językiem, wręcz przeciwnie – starała się do nas dotrzeć i nawiązać jak najlepszy kontakt. Zwracała się bezpośrednio do młodzieży, była naturalna i spontaniczna. Opowiadała głównie o swoim wyjątkowo trudnym, lecz satysfakcjonującym zawodzie, który traktuje jako życiową misję. Skupiała się na sprawach związanych z młodzieżą, przytaczała przypadki zbrodni młodych ludzi, które często wynikały z nieświadomości. Dzięki temu starała się nam uświadomić, jakie konsekwencje wypływają z nie do końca przemyślanych zachowań. Sędzia nie unikała podawania drastycznych przykładów ze swojej kariery zawodowej. Historie, które opowiadała, możemy znaleźć w jej autorskiej książce: „Poradnik prawny: Bezpieczeństwo młodzieży” (którą można znaleźć w czytelniku).

Anna Maria Wesołowska nie tylko jako stróż prawa, lecz też jako człowiek jest zaangażowana w edukację młodzieży. Bardzo jej zależy, by młodzi ludzie byli świadomi, jak może wyglądać ich życie po dokonaniu przestępstwa. Sędzia wspomniała, że tylko 2% dzieci rodzi się ze skłonnościami do czynów z natury niemoralnych (zdanie Łukasza). Dlatego tak ważne jest dla niej to, by młodzi ludzie nie niszczyli przedwcześnie swojego życia.

Sędzia z otwartością zachęcała nas do zadawania pytań. Po chwili milczenia padły pierwsze pytania, dotyczące jej programu, zwodu jako misji i obaw przed konsekwencjami, wynikającymi z podjętych wyroków. Wśród obecnych klas najaktywniejsza była klasa 3B. I na koniec – wspólne zdjęcie pamiątkowe i obietnica ponownego przyjazdu!

Spotkanie z Anną Marią Wesołowską zostało bardzo pozytywnie ocenione przez uczniów. Sędzia uświadomiła nam, że w swoich działaniach należy być rozważnym i wytrwale dążyć do spełnienia marzeń.

Anna Gąsiorowska

Sylvia Peczyńska

Olga Garczewska

Joanna Borowska

gościnnie:

Łukasz Gronau

Zachęcamy Was do dzielenia się z nami Waszymi uwagami, spostrzeżeniami – możecie zrobić to albo tutaj, albo napisać na adres: henrynews@wp.pl. Zapraszamy również do przyłączenia się do Redakcji.



Mateusz Jaromin

Autorzy tego numeru

(wg kolejności alfabetycznej)

Skład/grafika:

K. Konstantinow

Redakcja:

T. Antosiewicz

P. Bałdyga

J. Brojek

D. Brudzyński

P. Chyl

A. Dobrzyńska

J. Drzewaszewska

E. Dzitowska

K. Fijałski

M. Gerasik

A. Gąsiorowska

K. Grzelak

Sz. Jakubowski

J. Jędras

I. Kamińska

M. Karasiewicz

E. Kleniewska

M. Kornatowski

M. Kozakiewicz

A. Lisiński

A. Magnuszewski

A. Marchlewska

M. Markiewicz

J. Nowak

A. Pałac

K. Pawłowski

A. Rzewińska

A. Stasiak

R. Szymański

A. Szymborska

K. Wędrowski

A. Szumańska

A. Szymborska

K. Zientarski

Opieka merytoryczna:

M. Domańska

B. Dzitowska